



ORGAN KLUBU WŁÓCZĘGÓW

Włóczęga

WILNO 1935
R. III Nr. 1

Treść numeru:

☐ W poszukiwaniu syntezy. ☐ WIKTOR ORMICKI Przeludnienie na polskich ziemiach wschodnich. ☐ R. N. Realizacja ideału wychowawczego w obecnej szkole. ☐ C. J. F. W walce o ważkie i nieważkie sprawy. ☐ J. SIWICKI Pieńdz a oddłużenie. ☐ Dłóto i pendzel MARJAN KULESZA. Z zagadnień aktualnych. ☐ Wystawa W. T. A. P. ☐ A la eskimo. Sęk, na którym siedzi doktor Szniolis.

☐ WŚRÓD KSIĄŻEK I PISM. Turysta w Polsce. M. K. Wołokowski. „Złoto”. Przegląd czasopism gospodarczych. O kilometrze i minaretach.

☐ AKADEMICKI KLUB WŁÓCZEGÓW WILEŃSKICH. Akademicka Kasa Chorych czy Akademicki Ośrodek Zdrowia. Wybory do Bratniej Pomocy w I. N. H. G. „Banda akademicka”. „Żołnierze a teatr”.

KURJER WILEŃSKI

DZIENNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNO-GOSPODARCZY I LITERACKI

WILNO ————— BISKUPIA 4

Tel. Redakcji 79

Tel. Administracji 99

EGZYSTUJE OD ROKU 1923.

NAJWIĘKSZY I NAJPOCZYTNIJSZY DZIENNIK
NA WOJEWÓDZTWO WILEŃSKIE I NOWOGRÓDZKIE

Cena egzemplarza 15 gr.

Prenumerata miesięczna 3 zł.

Konto P. K. O. 80.750

WŁASNE ZAKŁADY GRAFICZNE

WILNO, BISKUPIA 4 „ZNICZ” TELEFON Nr. 3-40

WARUNKI PRENUMERATY: za 12 numerów — 5 zł. Konto P. K. O. Nr. 143.427, TEODORA NAGURSKIEGO
CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strony—200 zł., 1/2 strony—100 zł., 1/4 strony—60 zł., 1/8 strony—30 zł., z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej

Komitet Redakcyjny i Wydawca: KLUB WŁÓCZEGÓW.

Odpowiedzialny redaktor: PIOTR HERMANOWICZ

Adres Redakcji i Administracji: Wilno, ul. Przejazd 12. Tel. 16-90 od g. 15—16-ej.

Drukarnia „GRAFIKA” Gracjana Achrem-Achremowicza. Wilno, Trocka 13. Tel. 13-69.

300

WŁÓCZĘGA ≡ Nr 1

ORGAN KLUBU WŁÓCZĘGÓW W WILNIE

STYCZEŃ 1935.

K-[w]5/88

CENA 50 GR.

W poszukiwaniu syntezy

Kiedy już poprzedni numer „Włóczęgi“ był w druku, ukazał się w „Przeglądzie Wileńskim“ (Nr. 120 ub. r.) nowy artykuł prof. Michała Römera rektora Uniwersytetu Witolda Wielkiego w Kownie na temat stosunków polsko-litewskich.

Prof. Römer wysuwa tezę, że konflikt polsko-litewski jest, właściwie mówiąc, konfliktem wileńsko-kowieńskim i że jest on wynikiem rozdwojenia psychicznego, które wytworzyło się jako rezultat starcia na terenie Litwy dwóch procesów dziejowych: jednego starszego — polonizacyjnego, drugiego, młodszego narodowo-odrodzającego. I w dwóch rozdartych odtąd częściami dawnej Litwy ześrodkowały się siły główne tych dwóch ewolucyj przeszłości: w Wilnie — pierwszej, w Kownie — drugiej.

Pierwszy z tych prądów zdaniem prof. Römera ponosi całkowitą odpowiedzialność za tę piętnastoletnią tragedję polsko-litewskich stosunków. „Z jego to obozu — nie z Polski właściwej — wyszła inicjatywa tego przesądzenia losów państwowych Wilna, która dokonała rozdwojenia formalnego kraju. Z niego wyszedł ten, który tego dzieła imieniem Polski dokonał“.

Prof. Römer uważa, że Polska i Litwa mają wspólne interesa na Bałtyku. Te interesa muszą zrodzić w przyszłości nową epokę solidaryzmu polsko-litewskiego. Ale to będzie mogło nastąpić nie wcześniej, aż z areny życia ziemskiego zejdzie to pokolenie, które fakty dokonane z przed 15 lat wytworzyło. Śmierć tego pokolenia — zdaniem prof. Römera — będzie momentem twórczym, będzie ona zwycięstwem życia nowego, „błogosławieństwem oczyszczenia“, zniszczy „to co się zużyło i co zabagnia prąd płynny energii twórczej, dążącej w kierunku rozwiązań doskonalszych, niż te, które były zaprojektowane i czynione przez wymierających“.

Prof. Römer stawia w ten sposób problem roli historycznej współczesnego pokolenia t. zw. krajowego odłamu inteligencji polskiej z terenów dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Uważa on, że na nie spada przede wszystkim odpowiedzialność za wytworzenie się tego muru, który Wilno oddziela od Litwy północnej.

Nie możemy zaprzeczyć, że to pokolenie nie jest wobec litewskiej pracy państwowotwórczej bez winy. Cięża na nim błędy, których naprawienie wymagać musi wielu wysiłków i dużego samozaparcia się. Ale nie wszystko, co z ducha, myśli i tęsknot tego pokolenia w ukształtowaniu wypadków owych lat przełomowych zrodziło się, miało dla tworzącej się państwowości litewskiej rezultaty ujemne. Odwrotnie były czyny, które osłaniały tę pracę budowniczą. Wyrazem myśli i tęsknot tego pokolenia był przede wszystkim akt woli Wodza, który wbrew zwycięskiej potędze koalicji antyniemieckiej, wbrew sejmowi, wbrew opinii większości polskiego społeczeństwa, pchnął w 19 roku polskie pułki na wschód — i w ten sposób stworzył warunki gwarantujące niepodległość Litwy, i nie tylko Litwy. Gdyby proporce polskich ułanów w kwietniu 1919 roku nie zafurkotały na ulicach Wilna, gdyby polskie karabiny maszynowe nie zagrały nad brzegiem Dźwiny i Berezyny, mamy wszelkie podstawy przypuszczać, że nie tylko Wilno, ale również Kowno i Ryga byłyby dzisiaj w granicach jednej wielkiej Z. S. R. R., a w Katedrze, gdzie obecnie szukamy prochów Wielkiego Witolda, ludność wileńska musiałaby prawdopodobnie wysłuchiwać odczytów o wyższości „rosyjskiej proletarjackiej kultury“.

Prof. Römer usiłuje być bezstronnym. Pisząc o roli strony polskiej na terenie ziem dawnej Litwy powiada: „Właściwie i jej także, a przynajmniej jej wodzom nie chodziło o rozdarcie“ lecz zaraz dodaje „Spodziewali się oni połączyć i znów scalić to, co w pierw rozdarli, ale scalić pod swoją egidą przez zapanowanie“.

Jest to zdanie niesłuszne. O zapanowaniu myślała tylko strona kowieńska. Ten obóz wileński, o którym mówi prof. Römer, dał w okresie 1918 — 1921 roku wielokrotne dowody swego dążenia do syntezy. Ilekroć dochodził do większych wpływów w Wilnie, zawsze wyciągał dłoń z propozycją bezpośredniego porozumienia się dwóch stron dawnej Litwy. Strona narodowo - litewska stale odrzucała te propozycje, była bowiem przejęta myślą o zapanowaniu. Chciała bowiem traktować drugą stronę jako bierny obiekt swoich nacjonalistycznych eksperymentów.

Gdyby kilkakrotnie wysuwane przez Komisję Rządzącą Witolda Abramowicza propozycje bezpośredniego porozumienia zostały przez tamtą stronę podjęte, mapa wschodniej Europy jakże inaczej wyglądałaby obecnie, jak inną, jak znacznie bardziej korzystną dla Litwy mogłaby dzisiaj być konstelacja stosunków międzynarodowych. Niepowodzenia prób nawiązania bezpośredniego kontaktu z Litwinami nie mogły nie osłabić pozycji Witolda Abramowicza wobec akcji organizowanej przez polskie elementy nacjonalistyczne. Abramowicz musiał ustąpić. Przyszli inni ludzie, którzy wogóle żadnej syntezy szukać nie chcieli, którzy na innych opierali się przesłankach, którzy też inne zorganizowali rozwiązanie kwestji wileńskiej.

Myśli o przeszłości są nieraz ciężkie, rodzą ból i rozterkę, ale musimy mieć odwagę spojrzeć poza siebie, aby móc wytknąć koncepcję przyszłości.

Czy dzisiaj jest jakaś nadzieja znalezienia syntezy?

Prof. Römer ma nadzieję, że z chwilą, gdy na Wileńszczyźnie zejdzie do grobu pokolenie, przejęte tradycjami wspólnej polsko-litewskiej państwowości, gdy przyjdzie nowe pokolenie bez tych sentymentów, bez tego całego balastu uczuciowego tęsknoty do zjednoczenia, stworzą się jednocześnie warunki dla ukształtowania się polsko-litewskiej syntezy. Przytem prof. Römer wierzy w szczególną rolę, którą w tym wypadku mogłoby odegrać zbliżenie litewsko-poznańskie.

Z rozumowaniem prof. Römera w pewnym stopniu można się zgodzić. Istotnie, gdy zejda do grobu ludzie obciążeni balastem tradycyj wielko-litewskich, gdy patyna czasu pokryje wspomnienia o tym pokoleniu, co do odbudowania jedności dążyło, gdy Polak wileński z takim samym uczuciem obojętności będzie stawał wobec pomników potęgi wielko-litewskiej, z jakim Niemiec wrocławski staje wobec pamiątek piastowskich; gdy Żmudzin tak samo zacznie myśleć o Wilnie, jak Polak współczesny myśli o Wrocławiu; gdy między ludźmi z obydwu części dawnej Litwy wytworzy się poczucie zupełnej obcości — wówczas może istotnie będzie łatwiej ze sobą rozmawiać. Wzajemne stosunki będą się określały przez bieżące interesy, które mogą nawet spowodować jakieś dłuższe okresy współdziałania. Możemy dodać od siebie, że czas pracuje właśnie na rzecz takiego rozwiązania sprawy stosunków polsko - litewskich.

Dwa tylko punkty pozostają dla nas w tem rozumowaniu prof. Römera niejasne

Punkt pierwszy. Artykuł sprawia takie wrażenie, jakby prof. Römer wierzył, że wówczas ci właśnie zobojętniali w stosunku do Litwy Polacy chętnie pójdą na jakieś koncesje w sprawie wileńskiej. W odpowiedzi możemy prof. Römera zapytać, czy może on sobie wyobrazić, aby jakiegokolwiek bieżące interesy skłoniły Niemców nadreńskich do koncepcji dobrowolnego oddania Polsce Wrocławia?

Punkt drugi—to owa koncepcja interesów przedmiotowych, o które opiera prof. Römer swoją nadzieję stworzenia w przyszłości nowej litewsko - polskiej syntezy. Mamy wątpliwości, aby wogóle w polityce o jakichś obiektywnych interesach można było mówić.

Co to wogóle są interesa polityczne? Są to określone przez warunki danego momentu etapy w dążeniu do osiągnięcia pewnych celów zasadniczych. Punktem wyjściowym i decydującym są tu owe cele zasadnicze. Przyjęcie tych celów zasadniczych opiera się znowu o pewne podłoże emocjonalne. Noszą więc one z natury rzeczy zabarwienia nie przedmiotowe, ale raczej subiektywne. Inaczej będziemy pojmowali interesy państwa polskiego, gdy, jako cel zasadniczy przyjmujemy realizację pewnej w ten lub

inny sposób pojętej misji dziejowej, a inaczej, gdy razem z całym obozem nacjonalistycznym powiemy, że miarą wszelkich wartości jest dobro narodu polskiego. Inaczej będą się przedstawiały interesy państwowości litewskiej, gdy celem zasadniczym polityki litewskiej stanie się odbudowanie historycznego państwa wielkolitewskiego, a inaczej, gdy będzie tylko chodziło tak, jak to jest dzisiaj, o powiększenie ilości ludzi, przyznających się do narodowości litewskiej.

Cele zasadnicze są czemś bardziej stałym, wówczas gdy interesa bieżące są czemś zależnym od konjunktury, a więc bardziej zmiennym. Przez kilkanaście lat interesa obecnej państwowości litewskiej pchały politykę litewską w objęcia niemieckie, a teraz nakazują wywieszenie sztandaru antyniemieckiego, a nawet wysuwanie myśli o przyszłym podziale Prus Wschodnich pomiędzy Polskę a Litwę. Co jutro te interesa nakażą niewiadomo. Możemy przypuścić razem z prof. Römerem, że może z czasem ukształtować się sytuacja, która spowoduje na dłuższy okres czasu identyczność polskich i litewskich interesów oraz wywoła zblizenie. A może będzie właśnie odwrotnie?

Czy jednak tak rozumiane zblizenie, jeżeli nawet nastąpi, będzie syntezą? Syntezę będziemy mieli tylko wówczas, gdy państwa polskie i litewskie wytkną wspólne cele zasadnicze. To zaś będzie się mogło stać tylko wówczas, gdy po obu stronach obecnej granicy wytworzą się niezbędne przesłanki emocjonalne.

Jak one mogą się wytworzyć? Czy przez kontakt Litwy z Poznańskiem? Należy wątpić, aby poznański ziemianin, który dziś zaczyna korzystać na ożywieniu współpracy gospodarczej polsko-niemieckiej, pragnął wyzbycia się tych korzyści w imię obrony Kłajpedy.

Uważamy, że w Polsce koncepcja syntezy może zrodzić się tylko w Wilnie. Wilno, które jest powodem rozdźwięku polsko-litewskiego, musi stać się siłą łączącą te dwa kraje. Głoszona przez prof. Römera koncepcja solidaryzmu bałtyckiego najbardziej jest popularna właśnie w Wilnie. Stąd promieniuje ona na resztę Polski. W Wilnie właśnie marzymy o tem, aby wspólnymi siłami Polski, Ukrainy i Litwy, oraz państw bałtyckich stworzyć w środkowej Europie nową potęgę mocarstwową, która mogłaby zaważyć na losach Świata. Można powiedzieć, że dziś jeszcze w Wilnie częstsze są objawy myślenia kategorjami historycznej państwowości litewskiej, niż w Kownie, które jest nastawione wyłącznie na drobne korzyści skrawka dawnej Litwy, zajmowanego obecnie przez Republikę Litewską.

Dlatego też, myśląc o przyszłości Wilna, uważamy zawsze, że musi ono stać się ośrodkiem kulturalnym nie tylko dla miejscowej ludności polskiej, ale także dla sąsiednich państw bałtyckich oraz dla odrodzenczego ruchu białoruskiego. Dlatego też z sympatją ustosunkowujemy się do wszystkich kulturalnych poczynań białoruskich na terenie naszego miasta. Bylibyśmy również dumni, gdyby w dziele tworzenia pod-staw odrodzonej kultury narodowej litewskiej Wilno mogło współzawodniczyć z Kownem. Dlatego też chcielibyśmy, w Wilnie był większy odsetek Litwinów, niż ten, który jest, a szczególnie by znalazły się w naszym mieście warsztaty pracy dla większej ilości inteligentów litewskich. Uważamy bowiem, że tylko przez współżycie oraz bezpośredni kontakt może być odbudowane zaufanie, które załamało się przez błędy obu stron.

Uważamy, że wysuwana przez prof. Römera teza solidaryzmu bałtyckiego jest całkiem słuszna. Uważamy, że musi ona stać się wspólnym celem zasadniczym zarówno polityki polskiej, jak i litewskiej. Przyjmujemy ją z całym entuzjazmem, jako tezę własną. Ale sądzymy że dlatego aby ona mogła stać się wspólnym punktem wyjścia dla kształtowania się polskich i litewskich interesów politycznych, musi ona uprzednio głęboko przeniknąć do świadomości społeczeństw obydwu krajów. Działalność w tym kierunku musi stać się, według naszego mniemania, najbliższym zadaniem wspólnej pracy jej zwolenników w Wilnie i Kownie.

Wszystkim swoim sympatykom i czytelnikom „Włóczęgi“, życzenia szczęścia, pomyślności i owocnej pracy z okazji Nowego Roku składają oba Kluby Włóczęgów, Senjorów i Akademicki.

PRZELUDNIENIE NA POLSKICH ZIEMIACH WSCHODNICH

Artykuł niniejszy stanowi streszczenie odczytu, który wygłosił na jednym z ostatnich przed świętami zebrań klubu docent Uniwersytetu Jagiellońskiego p. doktor Wiktor Ormicki oraz zawiera streszczenie myśli wypowiedzianych następnie w dyskusji. Z uwagi na szczególnie wielkie znaczenie i sposób ujęcia tematu przez prelegenta wbrew dotychczasowemu zwyczajowi zamieszczamy go tu, a nie w zwykłym dziale streszczeń.

Red.

Z ogółu ziem polskich wyróżniają się województwa wschodnie najniższą gęstością zaludnienia. Porównując jednakowoż stosunek, zachodzący między ludnością zamieszkałą na wsi w województwach wschodnich, na południowym Pomorzu i w północnych okolicach województwa poznańskiego a wielkością powierzchni użytkowanej rolniczo łatwo wykazać, że stosunek ten układa się na niekorzyść województw wschodnich raz z uwagi na mniejszy obszar gruntów ornych, powtórze ze względu na wydajność gospodarki rolnej. Pozostaje ona w stosunku do wydajności na zachodzie jak 30:100; lokalnie stosunek ten podnosi się do 40:100, w żadnym jednak wypadku nie przekracza 50:100. Wynika stąd prosty wniosek, że warunki życia ludności rolniczej względnie relacja, zachodząca między zaludnieniem a zaopatrzeniem w rolnicze artykuły aprowizacyjne układają się na wschodzie 2 do 3 razy niekorzystniej aniżeli na zachodzie. Innymi słowy: w analogicznym zagęszczeniu żyjąca ludność ma średnio 2,5 razy gorsze warunki na wschodzie w związku z czem stopień nasycenia ziemi ludnością jest znacznie wyższy na ziemiach wschodnich. Jeśli się ponadto uwzględni, że cały niemal obszar województw wschodnich jest zbożowo niedoborowy, że emigracja zamorska, rozwijająca się z tych obszarów stanowi 8,4 — 10,3% ogólnie polskiej emigracji zamorskiej, i że jedyny poważniejszy tutaj przemysł drzewny znajduje się w obliczu wybitnie niekorzystnej koniunktury — trudno nie zgodzić się, że w dzisiejszych warunkach okolice te są przeludnione.

Okoliczność powyższą potęguje silny przyrost naturalny (najwyższy w Polsce) i poważnie się rozwijający ruch wewnętrzno-immigracyjny. W związku z tem jesteśmy świadkami paradoksalnego zjawiska, polegającego na emigracji ludności autochtonnej i równie wyraźnym napływie ludności z wnetrza kraju. W wielu powiatach okazała się imigracja zdecydowanie silniejszą od emigracji, decydując tem samem o immigracyjnym charakterze badanego terytorjum. Z drugiej jednak strony w licznych okolicach nasilenie emigracji doszło takich rozmiarów, że mimo forsownie często prowadzonej akcji kolonizacyjnej, powiat wykazał ujemne saldo.

Wśród przyczyn, działających negatywnie na proces kolonizacji wewnętrznej, postawić należy na jednym z naczelnych miejsc niewątpliwie surowość klimatu, wzrastającą w kierunku północno-wschodnim, a wyrażającą się wydatnem skróceniem nie tylko okresu wegetacyjnego, ale przedewszystkiem okresu wiosennych i jesiennych prac polowych, co pociąga za sobą konieczność utrzymywania liczniejszego pogłowia pociągowego, aniżeli na to po-

zwala wielkość powierzchni gospodarczej. Istnienie stałych niedoborów zbożowych osłabia łącznie z niekorzystną koniunkturą gospodarczą na inne ziemio-plody siłę ekonomiczną tutejszego rolnika, pozbawionego nadmiar możliwości zarobkowych w przemyśle drzewnym.

Znaczna różnica cen na artykuły rolnicze (w porównaniu z resztą Polski), wysokie ceny wytworów przemysłowych, dezorganizacja i anarchja w zakresie organizacji handlu i rynków zbytu pogłębiają znakomicie depresję życia gospodarczego ziem wschodnich.

Uważanie w tych warunkach polskich ziem wschodnich za teren odpowiedni dla kolonizacji wewnętrznej zdaje się polegać na przykrem nieporozumieniu, za które gospodarstwo społeczne drogo płaci.

Jasno i wyraźnie należy stwierdzić, że w *dzisiejszych warunkach* tak lokalnej kultury rolnej, jak: ogólnie polskiej sytuacji gospodarczej *ziemie wschodnie nie mogą być brane w rachubę, jako obszar kolonizacji wewnętrznej.*

Sądu powyższego nie należy rozumieć w ten sposób, jakoby ziemie wschodnie nie nadawały się do kolonizacji wewnętrznej. Owszem przeprowadzenie reformy rolnej jest i wskazane i pożądane pod warunkiem, że poprzedzi ją szeroko zakrojona i wszechstronnie pomyślana akcja organizacyjna i przygotowawcza.

W ramach wzmiankowanej akcji nie będzie można przyjść do porządku dziennego nad sprawą regulacji urodzeń. Ziemie wschodnie wyróżniają się w Polsce wysoką stopą urodzeń, niemałym żniwem śmierci i wysokim przyrostem naturalnym. Do procentu tego nie można ustosunkować się neutralnie (w myśl zasad polityki liberalnej), a to z powodu niezwyklej śmiertelności dzieci w wieku od 1 do 4 roku życia, jak i w związku z ciągłym ograniczaniem stopy życiowej na skutek zwiększania się rodzin. Praktycznie przedstawia się rzecz w ten sposób, że możnaby ograniczyć liczbę urodzin conajmniej od 25 do 30 0/0 pod warunkiem roztoczenia znacznie czulszej opieki nad niemowlęciem i dzieckiem do 4 roku życia. Coprawda nie cały obszar ziem wschodnich i północno-wschodnich odznacza się równie silnym przyrostem naturalnym. Północna Wileńszczyzna czy to na skutek grasujących tam chorób wenerycznych, czy też w związku z surowością tamtejszego klimatu wykazuje słaby przyrost naturalny.

O ile akcja, zmierzająca do regulacji urodzeń, wywołuje w niektórych kołach silne sprzeciwy o tyle konieczność daleko idącej reformy rolnej (w najszerszem tego słowa znaczeniu) uchodzi już dzisiaj za rzecz dowiedzioną. Nasycenie ziemi elementem włościańskim tak ważne z punktu widzenia obrony kraju musi iść po linii starannego doboru materiału osadniczego, przyczem decydujące i rozstrzygające znaczenie należałoby przypisać *zawodowemu* przygotowaniu kandydatów. Niemniej pamiętać należy, że o powodzeniu akcji decyduje w wysokim stopniu finansowa zasobność osadnika,

umożliwiają mu przetrwanie kilku pierwszych z reguły ciężkich lat. Ważną wreszcie jest i ta okoliczność, że kolonizacja wewnętrzna odbywać się winna na najlepszych ziemiach.

Przy tem wszystkim reforma rolna — pomyślana tylko w płaszczyźnie chwilowego odciążenia obszarów przeludnionych lub, jako środek do osłabienia istniejącej napięć wewnętrznych — jest jedynie paljatywem i nie daje żadnych widoków na trwałą poprawę bytu. Pochłania ona w mniejszym lub większym stopniu zapas ziemi — a nawet upełnorolnione lub skomasowane gospodarstwa z biegiem lat ulegają dalszemu lub ponownemu rozdrobnieniu na skutek braku ustawowych hamulców. To też z dużym niebezpieczeństwem dla gospodarstwa społecznego związane jest wyciąganie zeń kapitałów, na kolonizację wewnętrzną.

Wyłuszczone okoliczności wskazują, że w dzisiejszych warunkach kolonizacja wewnętrzna na wschodzie byłaby procesem kosztownym i nieodjrzałym. Nie na tej więc drodze szukać należy klucza do poprawy stosunków gospodarczych i do walki z przeludnieniem na wschodzie.

Jedną z najważniejszych dróg, wiodących do poprawy w stosunkowo najkrótszym czasie i przy względnie małych wydatkach jest rozbudowa szkolnictwa i poradnictwa rolniczego, szerzenie oświaty wogóle, rolniczej zaś w szczególności. Ludność ziem wschodnich musi zrozumieć, że z tej samej ziemi, na której obecnie przymiera głodem, można bez większego trudu wydobyć conajmniej 2 razy tyle. Pierwszy zatem wysiłek należy zwrócić w kierunku intensyfikacji gospodarstwa rolnego. Moment, w którym zaludnienie rolnicze ziem wschodnich pocznie czuć się składową polskiego organizmu gospodarczego, będzie decydującym dla nacjonalizacji i racjonalizacji upraw. Dla każdego orientującego się w klimacie wileńszczyzny jest pewnikiem, że cała północno-wschodnia Polska będzie tak długo cierpieła głód, jak długo gospodarstwo jej nastawione będzie na samowykarmienie się produkcją roślin zbiorowych. Rolnictwo musi się zwrócić do upraw przemysłowych, musi położyć większy nacisk na hodowlę. Jest to jedyna racjonalna droga zdolna zabezpieczyć tamtejszemu rolnikowi znośniejsze warunki życiowe.

Wymaga to jednak nieuchronnie zdecydowanego zwrotu w kierunku reorganizacji lokalnego handlu, wyeliminowania kosztownego i nieuczciwego pośrednictwa na rzecz uczciwie i rzetelnie pomyślanej (najlepiej spółdzielczej) organizacji zbytu.

Poparte finansowo przez spółdzielnie winno rolnictwo i hodowla nastawić się przemysłowo, ponieważ przedewszystkiem w ten sposób zapewnić sobie zdołają wyższą rentowność.

Pomijam w zupełności problem industrializacji, chałupnictwa, możliwości gospodarki energetycznej, jako wymagające kapitałów, których nie ma. Niemniej należy podkreślić, że zagadnienie uprzemysłowienia powinno być rozpatrywane odrądo pod kątem widzenia dekoncentracji i rozsypania na wiejskich obszarach.

Z uwag powyższych wynika, że walka z dzi-

sijszem przeludnieniem województw wschodnich toczyć się winna: 1) w płaszczyźnie reorganizacji dotychczasowych metod i form gospodarki; 2) na polu oświatowym. Jest rzeczą pewną, że intensywniejsze i racjonalniejsze sposoby i kierunki gospodarki dźwigną produkcję, zrównają ją z liczebnością zaludnienia i przepędzą uczucia ciasnoty, wynikłe nie z akumulacji ludności lecz z pierwotnej gospodarki. Równolegle dokonywujące się uświadomienie wpłynie niewątpliwie dodatnio na zbudzenie nieodczuwanych przedtem potrzeb — co w konsekwencji doprowadzić musi do podniesienia stopy życiowej.

Jest rzeczą oczywistą, że ani prac reorganizacyjnych, ani wysiłku organizacyjnego nie można wdrażać indywidualnie pod groźbą rozproszkowania energii. Życie gospodarcze polskich ziem wschodnich nie może się ani toczyć ani rozwijać w oderwaniu od gospodarstwa społecznego całej Rzeczypospolitej. Dlatego *paląca jest kwestja państwowego programu gospodarczego*. Winien on ustalać kierunki i charakter ewolucji gospodarczej, różniczkując ją według podstaw przyrodzonych, kryteriów ludnościowych i warunków materialnych. Od państwowego planu gospodarczego wymagamy rozłożenia w czasie terytorjalnie pomyślanej ewolucji gospodarki społecznej.

O plan taki najgłośniej upominać się winny we własnym interesie ziemie wschodnie.

W konkluzji poprzedzających rozważań należy stwierdzić:

1. Mimo rzadkiego zaludnienia ziemie wschodnie cierpią na nadmiar ludności.

2. Silna rozrodczość elementu miejscowego jakoteż poważna migracja wewnętrzna przyczyniają się w dużej mierze do pogarszania dzisiejszej sytuacji.

3. Poprawę warunków życiowych możnaby osiągnąć w drodze intensyfikacji rolnictwa, racjonalizacji i rejonizacji upraw i hodowli, położenia większego nacisku na przemysłowy przerób produkcji rolno-hodowlanej i na organizację zbytu (pomijamy natomiast te możliwości rozbudzenia życia gospodarczego, które wymagają dysponowania większemi kapitałami).

4. Działaniu oświaty przypisujemy zdolność dźwignięcia stopy życiowej dzięki rozbudzeniu nieistniejących przedtem potrzeb.

5. Prowadzenie kolonizacji wewnętrznej w skali państwowej na terenie ziem wschodnich wydaje się przedwczesnem, dopóki w innych okolicach Polski nie wyzyskano zapasu lepszych i zagospodarowanych gleb, nie wymagających meljoracji, na których proces kolonizacji wewnętrznej potoczyć się może znacznie szybciej i taniej.

6. Walka z przeludnieniem ziem wschodnich, sprowadzająca się w gruncie rzeczy do dźwignięcia i przestawienia miejscowej gospodarki, wymaga ścisłego skoordynowania posunięć w zakresie lokalnej polityki gospodarczej z państwowym planem gospodarczym, którego wypracowanie uznać należy za jedną z najpilniejszych dzisiaj potrzeb.

Zakończenie drukowanego w poprzednich numerach artykułu Czesława Bielskiego p. t. „Organizacje robotnicze w Wilnie i Woj. Wileńskim“ jako osobna odbitka uzupełniająca rocznik „Włóczęgi“ za rok 1934, zostanie dołączona do następnego numeru.

REALIZACJA IDEAŁU WYCHOWAWCZEGO W OBECNEJ SZKOLE

Nowa szkoła ma wyraźnie zarysowany ideał wychowawczy: uświadomienie twórczego obywatela — państwowca. Z programu nauczania wiele rzeczy usunięto, które do postawionego celu nie prowadzą — jako zbyt ciężki balast. Nowy program jest jednolity skonsolidowany, ale bardzo „przystosowany”.

Metoda nowej szkoły — to samodzielność. Samodzielność pielęgnowana, hodowana pod kloszem, nawet tam, gdzie brak przyrodzonych danych ku jej rozwinięciu. Metoda nauczania to chytre przedstawianie obiektów badań, tak, aby uczyć się nie chcący nawet lub wbrew chęci musiał powolnym mózgiem je potrafić. Można powiedzieć: „samodzielność pod kierunkiem”. To też ze zdumieniem napotyka się poszukiwanie kierownictwa i nadzoru ze strony młodzieży nawet wtedy, gdy wydawałoby się, że tej opieki nie wymagają.

Nie jestem bynajmniej przeciwnikiem reformy szkolnej. Wprowadza ona niewątpliwie wiele życiowych i dobrych zmian na miejsce zupełnie przeżytych, lub nierealnych, ale tyle już było wypowiedzianych pochwał na jej cześć, że niech mi wolno będzie ją zganić w paru miejscach. Dawniej wysuwany był ideał wychowawczy człowieka pełnego. Szkoła miała wprowadzać do wielkiej kultury, której zakosztować pozwalała uczniom, aby się rozsmakowali.

Dziś, jakkolwiek istotnie państwo, jego byt i służba jemu jest niewątpliwie wielkim dobrem kulturalnym, wydaje mi się bardzo żalostne, że inne dobra dotrzeć się nie mogą do wyżyn ideału wychowawczego. I choć rozumiem, czemu uczy się w szkołach krakowiaków i kujawiaków — to nie mogę odżalować, że w złym tonie stał się

Beethoven i że nie stawia się w bibliotekach szkolnych obok „Mów i Rozkazów” — Platona lub Leonarda da Vinci. A byłoby to polityką dalej patrzącą niż ich nieumieszczenie. Zamykanie się staranne na własnym tylko podwórku jest przekreśleniem dorobku kultury, której nie mamy potrzeby się wyrzekać, jak Sowiety, ani jej sterylizować, jak Niemcy. Standaryzowanie kultury doprowadziło w Stanach Zjednoczonych do wymiany jej na drobną, zdewaluowaną monetę: Muzyka to gramofon, przyroda — automobil, literatura — to powieść detektywistyczna. Pomijam już zwykłą odrazę ku tak rozumianemu postępowi. Struktura społeczna brak wielkich skupień miejskich — wymaga i dopuszcza zupełnie czegoś innego — co jest zaprzeczeniem standaryzacji: rozdziału funkcji pomiędzy indywiduala.

Jak się to przedstawia w szkole? Owszem uspołecznienie rozwija się dobrze i celowo i z biegiem czasu coraz lepiej. Tylko, że obok tego idzie standaryzacja. Coraz więcej dziedzin zainteresowań i życia młodzieży obejmuje szkoła — wkracza, narzuca swe normy nie zastosowując własnego kątki na własny użytek. Etatyzm! A skutek tego jaki? Ciekawe odczytu, przedstawienia, koncerty, teatry nie porywają młodzieży. Sama nie pobiegnie na „jaskółkę” słuchać przyjezdnego śpiewaka, nie będzie nocami czytać Szekspira, bo przecież, jeśli koniecznie potrzeba, będzie zaprowadzona na daną atrakcję (z przymusową zbiórką pieniędzy) a z przeczytanej książki pod rygorem musi złożyć sprawozdanie. Żyjemy w czasach kultu masowości, szarej przeciętności, małego człowieka, przeciętnego obywatela. Niech choć w ideale — może niedościgłym zaakcentowany będzie Obywatel-Jednostka.

W walce o ważne i nieważkie sprawy.

Kiedy w r. 1932 po rocznej nieobecności wróciłem do Wilna, spotkałem się z człowiekiem, który nie miał do roboty nic pilniejszego, jak, zaraz po wymianie nazwisk, zadać mi pytanie:

„Kolego, po której stronie barykady stoicie?”

Usprawiedliwiam się: nie byłem przyzwyczajony do modnej wtedy w Wilnie terminologii „barykady”, „kurtyny” i t. p. (jak wiadomo, każdy z tych wyrazów wówczas był streszczeniem deklaracji ideowej i kilku bojowych artykułów), i odrzekłem, że nie uważam za potrzebne stawiać tę barykadę.

Wobec tego nowy znajomy uznał, że niewątpliwie jestem pachołkiem burżuazji i z oburzeniem opuścił pokój. Był to Jan Kapała. Mam do niego dużo sentymentu, ale mam też pretensję o tę „psychikę barykady”. Podzielił barykadą ludzkość na dwie części i uważa nie tylko, że niema trzeciej strony, z czym się można zgodzić, ale również, że niemożna podejść do zagadnienia z innej strony, w innej płaszczyźnie, z innego punktu widzenia. Kto nie z nami, ten przeciw nam. Niemożna powiedzieć: zagadnienie

jest źle postawione, ani: istotne jest w tej sprawie właśnie coś innego, ani: cała ta sprawa nic mnie nie obchodzi, ani: tutaj mogą być jeszcze inne ciekawe strony problemu, którebym chciał oświetlić. Takie oświadczenia z punktu traktuje się, jako „przeciw nam”, jako zajęcie stanowiska po przeciwległej stronie barykady.

Oczywiście ze swego materialistycznego stanowiska Jan Kapała ma rację. Jeżeli się operuje jedynie ekonomiczną płaszczyzną i wyłącznie ustosunkowaniem kapitału i pracy, to można sobie taką barykadę ustanowić. Nic nie szkodzi. Powiem nawet więcej: bardzo pomaga. Przecież to jest znakomite uproszczenie sytuacji. Po tej operacji widzimy tylko dwie rzeczy — ich i siebie, ich po tamtej stronie, siebie po tej stronie barykady. Poza tem ludzi niema. Barykada pozwala nie bawić się w analizę, rozróżnianie i tym podobne skomplikowane czynności myślowe. Kapitalne ułatwienie dla walczących. Przewrót w dziedzinie metod polemicznych. Oczyma duszy widzę nawet ulotki reklamowe: „Nie wiesz, z kim walczyć? — Postaw barykadę!”.

* * *

Zaledwie parę tygodni minęło od wydrukowa-

PRÓBA NORMALIZACJI OBROTU MLEKIEM

W czasach obecnych zagadnienie normalizacji obrotu produktami rolnymi stało się modne do tego stopnia, że kwestja pewnej kalkulacji, nieodzownej do rozwiązania niezmiernie skomplikowanych zjawisk gospodarczych, wiążących się z normalizacją ustępuje najczęściej przed nietrafną intuicją. Nie zdaje się przytem sprawy z tego, że projektowany efekt w dziedzinie gospodarczej jest uwarunkowany dokładną analizą całokształtu stosunków gospodarczych i uwzględnieniem właściwych tym stosunkom środków, niezbędnych do osiągnięcia końcowego efektu. Podobnie jest i z kwestją normalizacji obrotu mlekiem.

Kwestja powyższa wyłoniła się w związku z wprowadzeniem w życie odpowiednich zarządzeń wykonawczych do rozporządzenia Ministra Opieki Społecznej z dn. 24 marca 1933 r. o dozorze nad mlekiem i jego przetworami. Zgodnie z intencją rozporządzenia obrót mlekiem i jego przetworami w całym kraju, ze względów higienicznych, winien ulec pewnej normalizacji, polegającej na użyciu odpowiednich naczyń do sprzedaży, jak butelki, zbiorniki zamknięte z kranami, na urządzeniu zlewni mleka, na ograniczeniu sprzedaży mleka i przetworów mlecznych tylko do odpowiednio urządzonych sklepów nabiałowych i do pewnej ilości punktów sprzedaży ulicznej w miastach, na zakazu handlu domokrażnego mlekiem niebutelkowanym, w nieodpowiednich naczyniach i t. d. Zresztą, wszystkich, wchodzących tu w grę przepisów, sięgających nawet aż do warunków produkcji w gospodarstwie rolnem, na tem miejscu nie jesteśmy w stanie szczegółowo scharakteryzować. Stwierdzić tylko należy, że kwestja nadzoru nad mlekiem i jego przetworami, podniesiona z pobudek sanitarnych,

sięga głęboko w dziedzinę produkcji, handlu i konsumpcji. Stwierdzenie tego momentu staje się niezbędnem przy szerszej analizie warunków obrotu mlekiem, rozpoczynając od miejsc produkcji, kończąc na przeciętnych rodzinach konsumenckich.

W produkcji mleka i sprzedaży jego w Wilnie są zainteresowane tysiące drobnych rolników podmiejskich. Zarobek płynący ze spieniężenia wytworów ich pracy oraz z ich dostawy do sklepów i mieszkań niezamożnych rodzin konsumenckich, zamieszkałych przeważnie na przedmieściach Wilna, stanowi niemal-że jedyne źródło pieniężne, z którego ci rolnicy muszą opłacać wszelkie podatki oraz pokrywać wydatki na zakup niezbędnych artykułów codziennego użytku.

W handlu mlekiem są zainteresowane liczne sklepy i sklepiki, rozsiane po różnych zakątkach miasta. Prosperowanie ich bardzo często jest uzależnione od sprzedaży nawet stosunkowo niewielkiej ilości mleka; sprzedając mleko potrafią pozyskać liczniejszą klientelę, która, zakupując jednocześnie inne artykuły, przyczynia się wydatnie do podniesienia obrotów handlowych.

Wreszcie, w konsumpcji mleka, tego niezbędnego artykułu spożycia niemal-że każdej rodziny, jest zainteresowana liczna warstwa niezamożnych robotników, rzemieślników i inteligencji.

Jakie zastrzeżenia można wysunąć przeciwko przepisom, które przecież nie dla czego innego, jak tylko dla higieny spożycia mleka zamierzają wprowadzić pewien porządek w jego obrocie? Wytknięty cel, jako taki, naszym zdaniem nie może być kwestjonowany. A jednak sprawa naogół nie jest tak prosta i łatwa do przeprowadzenia jednem, lub wieloma cięciami administracyjnych zarządzeń. Całe

nia mego bezpretensjonalnego feljetonu o formach wileńskich polemik („Kontrowersje”—„Włóczęga”, Nr. 8), a już dwukrotnie za niego oberwałem. Za pierwszym razem od czujnego feljetonisty Słowa p. Wysza („Polemiki Wileńskie”—Słowo, Nr. 334), za drugim razem również od p. Wysza, ale po tygodniowej przerwie („Unikanie konfliktów”—Słowo, Nr. 341). Nie mogę tu pominąć pewnego mglistego wrażenia, jakiego doznałem, czytając drugi feljeton. Moznaby było przypuszczać takie rozumowanie znudzonego spokojem pobojuwiska p. Wysza:—Wysuwam istotne i ważne dla Wilna zagadnienia, niech się opowiada „po której stoi stronie barykad”. Stanie po mojej stronie, pokażę wszystkim, że nawet i ten mię popiera, stanie po stronie przeciwnej — dopieroż mu dam po łbie.—A zwłaszcza drugi feljeton p. Wysza wykazuje niejaką tęsknotę za wojaczką, znudzenie, ... „I sami zamilkli (powiada p. Wysz) i Erwuza ma „pęknięcie serca“ i środy literackie obumierają. I przeciwnikom jakoś nie chce się podejmować walki. Smutno. Nudno. Pusto“... Temu spleenowi przeciwdziała p. Wysz, starając się wciągnąć do swoich utarczek mnie, szarego człowieka, który nie potrafi się bronić, jest „wzorem kwietyzmu i kontemplacji“, nie może

zdożyć się „na wysiłek rozstrzygnięcia któregokolwiek z obserwowanych przezeń zagadnień“ i wogóle unika konfliktów.

Nie wątpię, że jest to tylko wrażenie; trudno przypuszczać, aby prowokowanie czyichś wystąpień leżało w metodzie polemicznej autora, reprezentującego najwyższy w Wilnie poziom feljetonu (napewno będę miał konflikt z Maślińskim). Wprost przeciwnie — sądzę, że p. Wysza naprawdę męczą różne zagadnienia kultury wileńskiej i że dąży do ich rozwiązania, zwłaszcza, że uważa je za bardzo ważne. Zresztą ja ich też nie pomniejszam i czytając wileńskie polemiki, niezawsze „mówię z uśmiechem wyrozumiałej wyższości: głupstwo“. Czasem mówię: idiotyzm, a czasem mówię: świństwo. A to dlatego, że mnie w tych polemikach interesuje akurat inne zagadnienie, niż p. Wysza.

P. Wysz walczy na całym szeregu barykad. Wojuje z Erwużą, z Maślińskim, z Bujnickim. Wszystkie te barykadki stawia przedemną i powiada „...pan C. J. F. powinien oświadczyć stanowczo i zdecydowanie, jakiego jest zdania o roli Erwuży w Wilnie i stanowisku wobec niej Słowa; co sądzi o sprawie kobiecej, podniesionej przez p. Masiejewską i p. Maślińskiego i t. p. Cała bowiem sztuka

sedno rzeczy leży w tem — co musi być należycie uwzględnione — aby wyeliminowanie z obrotu mleka niebutelkowanego oraz wprowadzenie konieczności użycia przewidzianych regulaminowo naczyń, niespowodowało podrożenia mleka w handlu, przy tych samych, względnie nieco niższych cenach, płaconych producentom-rolnikom, gdyż przyczyni się to do zmniejszenia konsumcji. Następnie, wprowadzone zarządzeniem odpowiednie naczynia i inne urządzenia, jak zlewnie, winny naprawdę gwarantować odpowiednie warunki higieniczne.

Przedewszystkiem, jakie są widoki na to żeby cena na mleko nie wzrosła? Miarodajną w tej kwestji jest opinia istniejącego w Wilnie zrzeszenia producentów nabiału. Zdaniem tego zrzeszenia, cena mleka butelkowanego może wzrosnąć conajmniej o 5 groszy na litrze. Naszem zdaniem projektowany wzrost ceny jest bardzo znaczny. Przy obecnej przeciętnej cenie mleka 20 groszy za litr, przewidywany wzrost ma sięgać 25⁰/₀. W kalkulacji budżetu przeciętnej rodziny w Wilnie, wzrost ceny towaru o 25⁰/₀ jest stosunkowo wielki. A jeżeli przytem uwzględnimy jeszcze i ten moment, że mleko w spożyciu rodzin robotniczych stanowi artykuł, który, przy wzroście ceny, jest zastępowany w znacznej mierze przez słoninę i szmalc, to niebezpieczeństwo zmniejszenia konsumcji mleka, przy wzroście ceny o 25⁰/₀, jest wielkie. O pewnej zależności między spożyciem mleka, a stosunkiem ceny mleka do ceny słoniny i szmalcu świadczy coroczne zjawisko, bardzo charakterystyczne dla naszych stosunków. Ceny słoniny i szmalcu w ciągu roku ulegają wahaniom sezonowym stosunkowo nieznacznym. Zaś wahania sezonowe cen mleka są wielkie: ceny zatem są znacznie niższe aniżeli zimą. Stąd stosunek cen mleka np. do cen słoniny w miesiącach letnich (czerwiec, lipiec), wynosi 11⁰/₀, w miesiącach zimowych (grudzień, styczeń) — 16⁰/₀. Oczywiście, że latem, kiedy ceny

mleka są niższe, konsumcja jego jest znacznie większa aniżeli zimą i odwrotnie, przy wyższych stosunkowo cenach mleka, spożycie jego jest mniejsze.

Również nie ma odpowiedniej gwarancji, że mleko, znajdujące się w obrocie stanie się pod względem higienicznym bez zarzutu. Żeby naprawdę mleko odpowiadało warunkom higienicznym, nie wystarczy tylko, by sprzedawane było w takich czy innych naczyniach. Najważniejsze jest, by mleko nie rozwierało zarazków chorobotwórczych, które dzięki swoistym składnikom mleka, znajdują w niem doskonałe podłoże rozwoju. Wprawdzie, wspomniane wyżej rozporządzenie przewiduje, że mleko zanim trafi do obrotu ma być skierowane do odpowiedniej zlewni, skąd dopiero po dokonaniu zabiegów oczyszczających może być użyte w handlu. Niestety jednak praktyka funkcjonowania zlewni mleka zagranicą w takich państwach, jak np. Anglja, gdzie urządzenia techniczne są należycie postawione, świadczy o tem, że niebezpieczeństwo zakażenia wielkiej ilości mleka dostarczonego do zlewni, nawet stosunkowo małą porcją mleka krowy chorej, jest bardzo wielkie. Moment ten właśnie ze względów higienicznych zasługuje na specjalną uwagę. Bowiem mniejszy jest o wiele rozmiar skutków przypadkowego spożycia mleka od krowy chorej, przez jedną rodzinę, niż wtedy, kiedy mleko krowy chorej przechodząc przez zlewnię zakazi wielkie ilości mleka, które potem może być spożyte przez tysiące rodzin.

Na zakończenie jeszcze jedno zastrzeżenie odnośnie kosztów i kontroli nad obrotem mleka niebutelkowanego. O ile kontrola mleka sprzedawanego w sklepach jest możliwa do przeprowadzenia, o tyle kontrola jego w handlu domokrażnym wydaje się bardzo trudna, a czasami wprost niemożliwa. Jaką to należałoby wprowadzić służbę kontroli, jakim kosztem i jak wyposażoną w sankeje

polemiki polega na tem, by mówić to, co się naprawdę myśli". P. Wysz pyta: Powiedźcie, po której stronie barykady stoicie? A tych barykadek jest mnóstwo. „Konflikty można znajdować i można je stwarzać na każdym kroku”. Czy mamy się wtrącać ze swoim cennym zdaniem do każdego konfliktu? Gdybym chciał zajmować miejsce po którejś stronie we wszystkich poruszonych chociażby przezemnie w feljetonie „Kontrowersje” sporach i swoje stanowisko uzasadniać — zająłbym cały rocznik Włóczęgi. Gdybym swego zdania nie uzasadniał, toby mi wystarczyła metoda plebiscytowa — napisałbym do Słowa, że nie podoba mi się pomnik Mickiewicza i wszystko zajęłoby mało miejsca. Ale to nie byłoby zajęcie stanowiska w dyskusji.

Tymczasem ja wysuwam zagadnienie, o które właśnie p. Wysz nie chce walczyć. Mnie chodzi o metodę, chwyt i sposoby polemiczne. „Metoda” kłótni — to zagadnienie całkiem swoiste i widoczne właśnie z boku. Z tego też powodu p. Wysz go nie zauważył, zwłaszcza że, jak widać, jest obciążony „psychiką barykady”. Czy mam uważać, że p. Wysz unika konfliktu ze mną i dlatego uważa tą kwestję za podrzędną? Jeśli ta kwestja p. Wysz nie obcho-

dzi, a wzrusza go tylko merytoryczna strona sporu, to nie mam do niego pretensji. Ale nie jest to powód, dla którego bym miał we Włóczędze pisać: Słowo w kłótni z Erwuzą nie miało racji, Maśliński w sporze z Masiejewską miał rację i t. d., a nie zwrócić uwagi właśnie na stronę formalną tych polemik. P. Wysz stwierdza, że na chwyt nie powinno się zwracać uwagi, bo „pocóż w takim razie prowadzić spór? By koniec końców, grzecznie i dostojnie, każdy został przy swoim zdaniu? Czyjeś przecie musi być na wierzchu, ktoś powinien mieć rację kosztem swego przeciwnika”. Takiego zakończenia można się doczekać w instytucji o typie sądu, ile żadna polemika dziennikarska takiego efektu nie przyniesie. Nawet feljeton p. Wysz, chociaż są świetne, żadnego „wroga” dotąd nie przekonały. Jedynie możliwy skutek polemiki — to pobudzenie do przemyślenia sprawy. Bo nawet tak przekonujący moment, jak zaprzestanie dyskusji przez jednego przeciwnika, gdy drugi ma ostatnie słowo — i to nie przesądza, kto miał rację.

* * *

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie specy-

karne, aby domokrażny handel mlekiem znormalizować? A jeżeli tego nie da się wykonać, czy wystarczy, żeby kontrola obrotu mlekiem została ograniczona tylko do sklepów, które nawet jeżeli i będą zaopatrywały się w mleko butelkowane, bądź w specjalne naczynia do sprzedaży mleka niebutelkowanego, nie wytrzymają konkurencji handlu domokrażnego. Wiadome jest zresztą, że popyt na mleko butelkowane w różnej postaci dotychczas jest bardzo mały. Trudno sobie wyobrazić, żeby z racji wejścia w życie rozporządzenia o nadzorze nad mlekiem, przeciętny konsument wileński zaczął wyżej niż dotychczas cenić czynnik higieny; żeby

jego stopa życiowa raptem wzrosła do tego stopnia, że będzie mógł sobie pozwolić na wygodniejsze mieszkanie, na lepsze odżywianie i t. p.

Otóż, niestety tych warunków życiowych, w jakich znajduje się przeciętny konsument wileński, żadne, temu podobne, zarządzenia administracyjne nie zmienią. A dopóki stopa życiowa konsumenta nie podniesi się, jego wymogi higieniczne będą bardzo skromne. Kwestja higieny artykułów spożycia w trudnych warunkach życiowych rodzin konsumenckich, ustępuje na plan dalszy przed cenami tych artykułów.

Stanisław Symonowicz.

J. SIWICKI.

PIENIĄDZ A ODDŁUŻENIE

Zamieszczając nadesłany nam artykuł na aktualny temat zapobiegania trudnościom płatniczym w rolnictwie, zdajemy sobie sprawę, że ujmuje on tylko jeden fragment tego zagadnienia i zagadnień z nim związanych. Spodziewamy się jednak, że może on pobudzić naszych czytelników do podniesienia całego szeregu innych jeszcze zagadnień, wiążących się z akcją oddłużenia, szczególnie ważnych dla naszego terenu.

Red.

Wśród norm prawnych, jakie ujrzały światło dzienne w „latach chudych” może do najbardziej znamienych trzeba zaliczyć, te które dotyczą rolnictwa.

Przemawiają za tem dwa względy. Jeden — polega na tem, że ze wszystkich aktów ustawodawczych związanych ze złą konjunkturą, o charakterze specjalnym te, które dotyczyły rolnictwa w kraju tak rolniczym jak nasz noszą charakter najbardziej ogólny. Drugi — to, że właśnie w no-

wem ustawodawstwie rolniczem znalazły się normy, charakterystyczniejsze i o wiele więcej mówiące niż gdzie indziej.

Mimo, że ustawodawstwo to nosi ogólną nazwą finansowo-rolnego lub wprost oddłużeniowego świadomie pomijam, tę nazwę, gdyż wydaje mi się, że tkwią w niem elementy o szerszym i donioślejszym znaczeniu, niż określone potoczną nazwą. Jego okolicznościowość i związek z „latami chudymi w rolnictwie” nie przekreśla jego ogólnego znaczenia, jako pewnego precedensu na przyszłość. Zaczniemy od tego, co jest w tem ustawodawstwie okolicznościowe, t. j. od trudności płatniczych w rolnictwie.

Wydaje się niewątpliwe, że przyczyny tych trudności wynikają ze zjawiska o ogólnem znaczeniu dla całej gospodarki, ze zjawiska wzrostu siły nabywczej pieniądza, spowodowanego deflacją. Ceny na płody rolne spadły silniej niż ceny

ficzny charakter mojej barykadki. Nie spieram się o to, które chwytły są dozwolone, a które nie, tylko o to, że kwestja jest aktualna i że wogóle pewnych chwytów używać nie należy. I w tym wypadku p. Wysz, twierdząc, że „wszelkie chwytły są dozwolone, chodzi tylko o stosunek do przedmiotu sporu”, — stanął po przeciwnej stronie. Zapewne niechcący, bo przecież stoimy na różnych płaszczyznach: p. Wyszowi chodzi o merytoryczną, mnie o formalną stronę sporów. I gdyby polemisci na tę stronę formalną również zwracali uwagę, gdyby dobierali treść zarzutów do treści sporów, gdyby mniej używali kłonicy, a więcej przestrzegali nieskodyfikowanych chociażby zasad walki, to niewątpliwie nie byłoby „zmuszania przeciwników do milczenia kodeksem”, „unikania konfliktów za pomocą siły”, nie byłoby tego wprowadzenia czynnika oficjalno-konwencjonalnego, który dławi polemikę. Sam p. Wysz uważa, że jednak nie wszystkie chwytły są dozwolone, skoro stwierdza mówiąc o postępowaniu honorowem: „Takie sposoby walki budzą niesmak i powodują pustkę duchową”. Z pewnością nie tylko takie. Nawet w rugby niewolno przeciwnikowi wsadzić palca w oko.

Oczywiście, ze swego stanowiska—feljtonisty

Słowa—p. Wysz ma rację. Jeżeli się operuje wyłącznie ustosunkowaniem Słowa do Erwury, to można sobie ustawić taką barykadkę i innych kwestyjek i problemików nie honorować. Przecież to jest znakomite uproszczenie sytuacji: tam Erwuza—tu Słowo, teraz polemizujemy, a jтак się ta polemika będzie odbywała, to nikogo nie obchodzi. Byleby ktoś był na wierzchu. I ten sposób rozumowanie pozwala mi zestawić p. Wysza z Kapałą, chociaż jeden walczy o rzeczy niesłychanie ważne, a drugi—excusez—o mniej ważne.

A zresztą, gdybyśmy założyli, jak p. Wysz, że w polemice wszystko, co się napisze, jest dopuszczalne, byłoby to może nawet dość wygodne. Napisałbym wtedy np. tak:

Wysz, dlatego, że kiedyś całą książkę zjadła, rozumiała, że wszystkie rozumy posiada...

Możebym merytorycznie rzecz biorąc nawet miał słuszność. Tylko, że ja tego nie napiszę, bo uważam, że połajanki, niemające związku z dyskusją, są niedopuszczalne.

C. J. F.

wyrobów przemysłowych. Jednak nierównomierność spadku cen nie może być argumentem przeciwko twierdzeniu, że spadek cen został wywołany wzrostem siły nabywczej pieniądza. Spadek cen najmocniej się przejawiał w stosunku do artykułów produkcji rolniczej, jako produkcji najmniej zorganizowanej i sprzedającej swój towar na wolnym rynku. Monopolista natomiast utrzymał ceny na tym samym lub nieznacznie niższym poziomie, dzięki czemu konsumenci idąc po linii najmniejszego oporu wygrali swe atuty zmniejszonego popytu tylko przeciwko rolnikom, wynagradzając sobie wtem sposób straty ponoszone przy nabywaniu artykułów przemysłowych produkcji zmonopolizowanej i skartelizowanej.

Monopolista osiągnął nie tylko utrzymanie dochodów niemal na tym samym poziomie (ilości jednostek monetarnych) nie tylko zyskał na wzroście siły nabywczej pieniądza, ale potrafił w dożym stopniu zasugerować społeczeństwu, że spadek cen na płody rolne, zmniejszona dochodowość rolnictwa lub deficytowość rolnictwa, jest zjawiskiem czysto rolniczym.

O ile jednak przyjąć, że to co się dzieje na rynku rolniczym pozostaje w ścisłym związku z wzrostem siły nabywczej pieniądza nie powinno wydawać się dziwnym, że następuje niesłuszne wzbogacenie się wierzyciela kosztem dłużnika i to kosztem dłużnika rolnika w szczególności, gdyż oprócz ogólnej straty na zaciągniętym zobowiązaniu ponosi on straty wskutek spadku cen na produkowane towary w stosunku większym, niż to odpowiada wzrostowi siły nabywczej pieniądza.

Niewypłacalność rolnika stała się faktem. Niezależnie od różnicy poglądów na przyczynę tego faktu, powstało i ugruntowało się przekonanie o konieczności przyjęcia z pomocą rolnictwu.

Przekonanie to znalazło swój wyraz w t. zw. „ustawodawstwie oddłużeniowym”.

Myślą przewodnią tego ustawodawstwa jest — ulżenie wszystkim rolnikom — dłużnikom, którzy zdaniem ustawodawcy posiadają dość jeszcze sił żywotnych na wyjście z impasu, w jakim się znaleźli; środkiem zaradczym rozłożenie wszystkich zobowiązań zaciągniętych w okresie „lepszej konjunktury” na długoletnie spłaty.

Okresy trwania obu konjunktur „dobrej” i „złej” zostały przez ustawodawcę rozdzielone datą 1 lipca 1932 r. Właściwie jest to może data wcześniejsza, ale ustawodawca przyjął, że do 1 lipca 1932 r. każdy już się miał czas zorjentować w zaszłych zmianach w sytuacji gospodarczej i w kierunku dynamiki tych zmian. Długi rolnicze powstałe przed wyżej wskazaną datą zostały rozłożone na długoletnie spłaty z mocy samego prawa, albo przynajmniej została wskazana droga prawna do ich rozłożenia na spłaty tym wszystkim, któ-

rych warsztaty rolne są zadłużone poniżej przewidzianego ustawowo maximum zadłużenia w stosunku do wartości.

Zasada rozłożenia na spłaty zobowiązań rolniczych jest osiłą całokształtu norm „oddłużeniowych”.

Nie wdajemy się w szczegóły, w jakich ta ogólna zasada przejawia się w różnych konkretnych wypadkach, gdyż są to rzeczy zbyt specjalne i tylko informacyjne.

Zwracamy uwagę na jeden przepis niezwykle znamieny. Została wydzielona grupa właścicieli gospodarstw rolnych, którzy w razie dokonania spłaty swego długu przed terminami przewidzianymi ustawowo będą mieli prawo zaliczenia na poczet spłaty długu każdego wpłaconych 100 zł. za 150. Jest to grupa najliczniejsza.

Jak wynika z tego ustawodawca przyznaje, że znaczenie pieniądza obecnie jest nadmiernie wielkie w stosunku do okresu niedawno minionego, i że samo oprocentowanie nie równoważy różnic wynikłych naskutek zmiany terminu zapłaty długu. Na podstawie tego tylko jednego przepisu można by sądzić, że ustawodawca przewiduje, obniżenie siły nabywczej pieniądza w przyszłości i że wogóle te zmiany w dużych granicach (do 50%) uznaje.

Czy i w jaki sposób będzie dążył do spowodowania powrotu siły nabywczej pieniądza do dawnego poziomu nie wiemy, ale skoro sam fakt wzrostu tej siły nabywczej został przyznany, a mimo to długi zostały tylko rozterminowane, a nie częściowo skreślone, trzeba przypuszczać, że będą czynione starania, aby spłatę rozterminowanych zobowiązań w przyszłości ułatwić w jakiś sposób.

Tem przyszłym ułatwieniem, skoro nominalna wartość zobowiązań pozostała bez zmian, może być logicznie rzecz biorąc, jedynie zniżka siły nabywczej pieniądza, a zwyżka cen i to cen na artykuły rolnicze w szczególności.

Wierzymy w nieoficjalną zapowiedź czynników miarodajnych, że obecnie ustalone zasady odłużenia stanowią zamknięcie cyklu „ustawodawstwa oddłużeniowego” i, że dalszych ulg w zakresie terminów spłaty i nominalnej wysokości zobowiązań oczekiwać nie należy.

Jeżeli chodzi jednak o uzdrowienie stosunków w rolnictwie i równowagę gospodarczą, „ustawodawstwo oddłużeniowe” można uważać tylko za pierwszy rozdział szerszej akcji zmierzającej ku ożywieniu życia gospodarczego. Wartość i sens tego pierwszego rozdziału zależy od następnych, których treść będą stanowiły nie normy prawne, a tylko konkretne posunięcia polityki gospodarczej państwa i to przede wszystkim posunięcia znajdujące swój wyraz w dziedzinie walutowej i poziomu cen.

Wszystkim, których roznamiętnia dyskusja na temat prawa kobiety do pracy, lub którzy szukają argumentów przeciwko temu roznamiętnieniu polecamy do przeczytania artykuł Tadeusza Dzielskiego p. t. „Prawo kobiety do pracy i alfonsi sprawy kobiecej” zamieszczony w „Tygodniku Artystów” z dn. 24.XI 1934 r. (Kraków pl. św. Ducha 5). Jeżeli nie zamieszczamy przedruku tego artykułu in extenso, to tylko dlatego, że nie chcemy powiększać i tak już pokaźnej liczby pism, które tę sprawę wałkują.

Wilno, miasto Uniwersyteckie z Wydziałem Sztuk Pięknych i bogatą przeszłością historyczną dotychczas nie posiada nawet skromnego lokalu, przeznaczanego dla stałych wystaw Sztuki. W poszczególnych wypadkach przy organizowaniu wystaw artyści muszą składać podania o przyznanie im tego lub innego lokalu, nie mając nigdy pewności, że upatrzona sala będzie oddana na ten cel. Utrudnia to niezmiernie realizację imprez artystycznych miejscowym organizacjom i jednocześnie odstrasza od Wilna artystów zamiejscowych, którzy muszą się borykać z trudnościami lokalowymi przy urządzaniu wystaw w Wilnie. W sezonie letnim pawilon w ogrodzie po-Bernardyńskim ma być wykorzystany na Targi i wobec tego upada projekt zorganizowania wzorem lat ubiegłych wystawy Sztuki w tym pawilonie przez T-wo „Niezależnych”. Wileńskie T-wo Artystów - Plastyków w okresie Świąt Bożego Narodzenia otwiera po czteroletniej przerwie wystawę prac swoich członków w lokalu Szkoły Rzemiosł Artystycznych, nie mogąc prawdopodobnie, w danej chwili znaleźć odpowiedniejszego na ten cel lokalu.

Z tych przykładów widać z jakimi trudnościami muszą walczyć artyści, chcąc pokazać swój dorobek artystyczny społeczeństwu wileńskiemu. Te same trudności będzie musiał pokonać Komitet Pomocy Powodzianom, organizując wystawę loteryjną prac poszczególnych artystów członków Wil-

T-wa Art. Plast., T-wa „Niezależnych” oraz niezrzeszonych, które zostały ofiarowane przez nich na ten cel. Sprawą stałego pawilonu sztuki w Wilnie zainteresował się Wojewoda wileński p. Jaszczółt, który w obecności kilku osób i niżej podpisanego wypowiedział zdanie, że tą kwestją powinni zająć się artyści i społeczeństwo, a On ze swej strony będzie gorąco popierał akcję w tym kierunku. Chodziłoby więc w danej chwili o wspólny wysiłek artystów wileńskich, zmierzający „viribus unitis” do osiągnięcia pomyślnego załatwienia tej sprawy. T-wo „Niezależnych” w myśl tej zasady wysunęło projekt, przedstawiony i przychylnie przyjęty przez p. Dziekana Slendzińskiego, stworzenia wzorem innych miast na terenie Wilna Związku Zawodowego Artystów; taki Związek mógłby ogarnąć całokształt spraw artystycznych i w odpowiednich wypadkach tak lub inaczej ustosunkować się do nich. Zarząd W. T. A. P. projekt ten uznał za nieaktualny, znajdując inne wyjście: mianowicie w niektórych kwestjach, interesujących oba Towarzystwa, występować wspólnie. Według mnie jest to tylko połowiczne załatwienie tej kwestji. Miejmy nadzieję, że sprawą stałego pawilonu Sztuki w Wilnie zainteresuje się nowy Zarząd miejski i okaże zrozumienie dla spraw związanych z kulturą artystyczną Wilna.

Marjan Kulesza.

WYSTAWA W. T. A. P.

Rozwiązanie problemu krytyki artystycznej nasuwa wiele trudności zważywszy, że z tem zagadnieniem łączy się szereg kwestyj, dotychczas niezupełnie rozwiązanych, a często omawianych na łamach specjalnych wydawnictw artystycznych. Naprzykład zawsze aktualną sprawą dla artystów jest kwestja kompetencji w wydawaniu tych lub innych sądów przy omawianiu wysiłków twórczych poszczególnych artystów. Moment, kiedy artysta bierze do ręki pióro przedstawia pewne niebezpieczeństwo; chcąc go uniknąć krytyk—artysta musi zdobyć się na maximum obiektywizmu w ocenie dzieł sztuki kolegów, zapominając o własnych upodobaniach do tych lub innych kierunków w sztuce. Trudności te zwiększają się w wypadku, kiedy recenzent należy do tej samej grupy artystów z którymi pracuje i razem wystawia. Ongi pisałem recenzję o wystawie W. T. A. P. w „Kurjerze Wileńskim”, w „Słowie” zaś dotychczas umieszcza recenzje p. Adamska-Roubina (ergo). Obecnie nie należąc do grona artystów zrzeszonych w W. T. A. P. łatwiej mi będzie napisać sprawozdanie z niedawno otwartej wystawie W. T. A. P. obejmującej przeszło 100 eksponatów obrazów i rzeźb członków T-wa. Zgóry odrzucając rozmaite zbyt fachowe określenia, superlatywy w rodzaju: nadzwyczajne, przepiękne, mistrzowskie i t. d. postaram się podzielić swymi wrażeniami i czytelnikami „Wióczęgi” w ten sposób, żeby widz na podstawie swoich wrażeń wzrokowych mógł sprawdzić zawarte w tym artykule uwagi. Zaczniemy oględziny obrazów kolejno, zależnie od sal, w których są rozmieszczone. A więc w pierwszej sali naprawo znajdują się obrazy pp. Karnieja, Miedzyblockiego, Szturmana i rzeźby p. Hermanowicza.

Karniej wystawia dwa portrety, w których widoczna jest dbałość o pewien układ kompozycyjny oraz wyraz osoby portretowanej, szkoda tylko, że rysunek miejscami niedociągnięty, jak to widzimy w portrecie Nr. 37 gdzie tors jest zakrótki. Z pracami Karnieja sąsiadują rysunki Miedzyblockiego, zbyt monotonne w technice.

O wiele lepsze są pejzaże akwarelowe i olejne. W olejnych pracach widoczny jest postęp artysty np. Nr. 50 „wieczór nad Wilnem”. Na bocznej ścianie z prawej strony cykl fragmentów pejzażowych i architektonicznych p. Szturmana.

Wyodrębniają się te prace właściwą p. Szturmanowi impresjonistyczną techniką, polegającą na nakładaniu grubszych warstw farby w zestawieniu barwnych plam. Pomimo techniki impresjonistycznej, bogactwem koloru nie odznaczają się prace tego artysty. W rogach sali dwie głowy kobiece, prace rzeźbiarskie p. Hermanowicza. Odznaczają się one wyrazistością charakterystyki oraz syntetycznym ujęciem bryły, przy całkowitem opanowaniu techniki. W osobnej sali zgromadzone są rzeźby p. Horno-Popławskiego, świadczące o dużym wysiłku artystycznym młodego rzeźbiarza np. głowa sportowca i inne. Następną salą zawiera prace p. Serafinowiczowej i p. Horyda. W scenach rodzajowych niedawna absolwentka Wydziału Sztuk Pięknych U. S. B. p. Serafinowiczowa stara się rozmieszczeniem figur w obrazach osiągnąć pewną całość kompozycyjną. Koloryt szczególnie w cieniach i półcieniach monotony i przeczerntonny, rysunek miejscami niedociągnięty. Braki te okupia duży temperament malarski i rozmach, rokujący nadzieje na przyszłość. Horyd wystawił kilka prac nie wnoszących nic nowego do dorobku artystycznego, który mieliśmy możność oglądać na zbiorowej wystawie artysty w kasynie Oficerskim. Największą, że tak powiem, honorową salę zajmują prace pp. Slendzińskiego, Jamontta, Hoppena, Kwiatkowskiego, Kubickiego i rzeźbiarza Bałzukiewicza (Królowa Barbara).

Slendziński dał na wystawę szereg portretów. Właściwością tych portretów w porównaniu z dawnymi pracami jest większa miękkość w traktowaniu formy i bardziej realistyczne podejście do tematu. Zwraca szczególnie uwagę bardzo dobry autoportret i portret lotniczki. Sąsiaduje p. Jamontt szeregiem studjów, wykonanych z majsterstwem w zestawieniu kontrastów. Oprócz studjów w sąsiedniej sali znajdują się dwa obrazy kompozycyjne w stylu dawnych prac artysty, gdzie przedewszystkiem uwzględniony jest pierwiastek dekoracyjny. P. Kwiatkowskiego portrety o gładkiej fakturze przypominają również charakter dawnych prac artysty. Najwięcej wyrazu i charakteru posiada dobry portret p. N. S. Zwracają uwagę prace graficzne p. Hoppena, wykonane pod względem technicznym bez zarzutu, posiadają one w ujęciu dużo subtelności, świadczącej o nieprzeciętnej

kulturze artystycznej autora jak np. portret p. A. D. (Nr. 10) i Biczownicy wileńscy (Nr. 9). Obok autoportret p. Kubiekiego, posiadający wszelkie dodatnie cechy szkoły monachijskiej. Nakoniec ostatnia sala z pracami p. Adamskiej-Roubiny i p. Rouby. P. Rouba w obrazach dawniejszych przede wszystkim na plan pierwszy wysuwał pewną konstrukcję i dekoracyjność pejzażu, unikając śmielszych kontrastów barwnych, co powodowało pewną szarość kolorytu. W ostatnich paru pracach „szkie do obrazu“ i „we mgle“ widoczne są usiłowania wydobyć bogatszą skalę barwną. P. Adamska-Roubina wystawiła studja głów olejne i rysunki. O ile

rysunki i głowa staruszki (olejna) traktowane są zupełnie naturalistycznie z uwzględnieniem najdrobniejszych szczegółów, o tyle główki dwóch dziewczynek w beretach wykazują pewną geometryzację formy obok niedociągnięć rysunkowych. Przypominam z ubiegłych lat ciekawe ilustracje i grafiki p. Adamskiej-Roubiny. Mimowoli nasuwa się pytanie, czy to nie właściwa droga dla dalszego rozwoju. Na tym pobieżnym przeglądzie kończę swoje sprawozdanie o wystawie, którą radziłbym zwiedzić wszystkim, interesującym się sztuką.

Marjan Kulesza.

25 grudnia 1934 r.

A L A E S K I M O

Stosownie do tytułu powinien być: mróz, śnieg, ławice lodowe, białe niedźwiedzie i Czeluskin a, naprawdę to było tak: temperatura $+ - 0^{\circ}$, śniegu — prawie nic, lodu jeszcze



mniej, niedźwiedź — dziecinny miś wypchany trocinami i dwa kajaczki, które spuściliśmy na wodę o godz. 9 dnia

16 grudnia. Kra szła niewielka — ruszyliśmy w górę rzeki. Śmiesznie było patrzeć, jak wszystkie ruszające się na brzegach postacie zamieniały się na nasz widok w słupy soli. Koło mostu wojskowego doleciał nas „vox populi“ ogłoszony donośnie: „Patrzaaaaj! duurne jadą!“ Nie mieliśmy czasu odpowiadać, bo całą uwagę zajmowała nam kra. Zapoznaliśmy się z nią. Po godzinie jazdy już wiemy co o niej myśleć: nie jest taka groźna jak się z brzegu wydaje, zwłaszcza, że kajak to niesłychanie zwrotna rzecz w sytuacjach, które nie dają czasu do namysłu. Dopchaliśmy się pod Gielwadziszki, robiąc kilka zdjęć po drodze. Żał wracać. Tak się dobrze człowiek czuje na wodzie i lodzie.

Postanawiam każdy wolny dzień spędzać w ten sposób. Bo pomyślcie państwo: jeśli nart niema to czy nie lepiej zamiast siedzieć w domu, knajpie, kinie—siąść w kajak i popracować solidnie wiosłkiem. Ale właśnie to wiosło największą groźbę budzi u wszystkich: przecież z niego woda kapie na nogi! No tak, kapie, można na nogach postawić miednicę, albo koc położyć i niech kapie. Sylwek—mój kompan — załamał się na lodzie (widać tą dziurę na zdjęciu), wpadł powyżej kolan, no i cóż?—wykręcił z wody spodnie, i jazda dalej. Grunt nie przerażać się i samemu spróbować.

Wszystkim tym, którzy czytając te słowa pomyślą o mnie: warjat — oświadczam, że ja pisząc to, pomyślałem o nich zawczasu: zgnitek.

O 15-ej, odganiając krę bosaezkiem, z trudem wylądowaliśmy w AZS.

W. O. M.

SĘK, NA KTÓRYM SIEDZI DOKTÓR SZNIOLIS

Przedrukujemy z „Prawdy“ Łódzkiej (Nr. 53 z 1934r.) opublikowany tam okólnik Naczelnego Lekarza Ubezpieczalni Społecznej w Wilnie.

UBEZPIECZALNIA SPOŁECZNA
w Wilnie

Wilno, d. 12 maja 1934 r.

Znak: 1.05.2.

PRZEDMIOT. oszczędność w udzielaniu świadczeń przez p.p. Lekarzy

Do

Wszystkich p. p. Lekarzy
Ubezpieczalni Społecznej w Wilnie.

Zarządzenie Naczelnego Lekarza Nr. 8.

Stan finansowy naszej Ubezpieczalni uległ w ostatnich czasach bardzo znacznemu pogorszeniu. Tymczasem z przykrością muszę stwierdzić, że gospodarka świadczeniami ze strony p.p. Lekarzy nie tylko nie stała się bardziej oszczędna, a powiedziałbym naodwrot, robi się bardziej rozrzutną. Niepomiernie wzrosła ilość analiz lekarskich, ilość chorych kierowanych na fotografię i do szpitali szcze-

gólniej niekomunalnych, apteka Ubezpieczalni przeladowana jest receptami, które nie wykazują dostatecznej oszczędności.

Zwracam uwagę na podobny stan rzeczy, apeluję do poczucia obywatelskiego pp. Lekarzy, do ich zobowiązań przyjętych na siebie przy zawieraniu nowej umowy i proszę o zastosowanie jaknajdalej posuniętej oszczędności, ażeby nie poderwać wspólnego nam sęka, na którym wszyscy siedzimy. Ufam, że wzorem lat ubiegłych pp. Lekarze dołożą wszelkich starań, celem poprawienia obecnego stanu rzeczy.

(podpis)

Naczelnny Lekarz
(—) Dr. Szniolis.

W przeciwieństwie do powściągliwej w danym wypadku „Prawdy“, która powyższy okólnik zamieściła bez komentarzy nie możemy powstrzymać się do wypowiedzenia serdecznego życzenia, aby znalazł się wreszcie ktoś, kto by podrapał ten sęk, na którym siedzi doktor Szniolis. Sądzimy że byłoby pożytecznie podciąć sęki pod wszystkimi, którzy obowiązki Ubezpieczalni pojmują w duchu doktora Szniolisa. Możeby wówczas drzewo zaczęło wydawać lepsze owoce.

W poprzednim numerze „Włóczęgi“ podaliśmy wiadomość o zamieszczonym, w listopadowym numerze „Pax“, artykule ks. prał. dr. Walerjana Meysztowicza na temat grobu W. Ks. Witolda w Katedrze Wileńskiej. Artykuł ten, zawierający wskazówki, co do miejsca gdzie się muszą znajdować doczesne szczątki W. Księcia, ks. Meysztowicz zakończył kategorycznym twierdzeniem, że „nikt bez poważnych dowodów przeciwnych już mówić nie może, że niewiadomo gdzie leżą zwłoki Wielkiego Hospodara, syna Kiejstuta i Biruty, i dwóch żon jego Anny Smoleńskiej i Juljanny Algimontowiczówny Holszańskiej“.

Oczekiwaliśmy, że rzeczowy i na źródłowych danych oparty artykuł ks. Meysztowicza wywoła równie rzeczową dyskusję. Rzeczywistość w pewnym stopniu potwierdziła nasze nadzieje. Oto ostatni numer „Pax“ u drukuje pierwszą część artykułu ks. dr. Piotra Śledziewskiego, który stwierdzając, że „pod względem metodycznym zasługa ks. Meysztowicza jest wielka“ usiłuje poddać jego stanowisko rzeczowej krytyce.

Niestety cech rzeczowości nie możemy się dopatrzeć w opublikowanym w prasie wileńskiej oświadczeniu Komitetu Ratowania Bazyliki Wileńskiej. Argumenty, które można wydedukować z tego oświadczenia, dadzą się sprowadzić do dwóch twierdzeń:

1) przypuszczenia ks. Meysztowicza noszą charakter bałamutny,

2) ks. Meysztowicz niedostatecznie zapoznał się ze źródłami, a znanych mu nie umie interpretować.

Pozatem Komitet zapewnia, że „dolożył wszelkich starań by odnaleźć szczątki W. Księcia Witolda“ oraz że „gdyby udało się odkryć szczątki W. Ks. Witolda... zatroszczyłyby się o godne ich pochowanie“.

Nie mamy powodu wątpić w dobrą wolę Komitetu pod tym względem, lecz niezbyt rozumiemy celu składania tego rodzaju deklaracji. Przecież ks. Meysztowicz w swoim artykule żadnych zarzutów Komitetowi pod tym względem nie postawił. Wogóle dziwnem wydaje się nam to zdenerwowanie Komitetu, które wywołało tak wyjątkowo ostre wystąpienie, przeciwko jednemu z najbardziej szanowanych ludzi w naszym mieście.

Czyżby Komitet uważał, że posiada monopol na prowadzenie studjów w sprawie miejsca spoczynku prochów twórcy wielkolitewskiej potęgi i że nikt, chociażby to była osoba o tak niewątpliwych kwalifikacjach jak ks. dr. Meysztowicz, nie ma prawa tem się zajmować? Nie rozumiemy!

Komitet powołuje się na kolosalne trudności, uniemożliwiające prawie odnalezienie i zidentyfikowanie szczątków W. Ks. Witolda wśród szeregu innych zmarłych, pochowanych w podziemiach Katedry. Sądzymy jednak, że tembardziej nie powinien nikomu bronić dokonywania prób w tym kierunku, chociażby według jego mniemania, były to próby najbardziej beznajdzienne. Odwrotnie powinien służyć zachętą i pomocą.

Komitet nie powinien posiadać żadnego monopolu. Jest on być tylko wybranym przez społeczeństwo wileńskie wyrazicielem tego pietyzmu, który dla miejsca, gdzie spoczywają prochy Witolda Wielkiego jest żywy w obu częściach dawnej Litwy.

W ŚRÓD KSIĄŻEK I PISM

TURYSTA W POLSCE.

Wyszedł z druku № 2-gi kwartalnik „Turysta w Polsce“ poświęcony niemal w całości turystyce i sportom zimowym. Na bogatą treść tego luksusowego i naprawdę pięknego wydawnictwa Ministerstwa Komunikacji złożyły się następujące artykuły: Próba bez wartości (rzecz o Krakowie)—Z. Nowakowskiego; Zakopiańska Zima—R. Malczewskiego; Krynica w zimie—Romana Loteczki; Sławko — raj narciarzy—dr. W. Dybowskiego; Polowania w Polsce—Walentego Garczyńskiego; Na torach P. K. P. St. Łosia; Nowa Polska—Fr. Galińskiego; Nadkarpaccy raid narciarski—dr. A. Zielińskiego; Narciarskie góry w Polsce S. Paechera i Kalendarz Turystyczny—dr. M. Orłowicza. Numer bogato ilustrowany zdobi pięciobarwna okładka, zaprojektowana przez p. p. Nowickiego i Sandecką. Redaktorem kwartalnika jest p. Bohdan Lepecki. Szczególnie piękną stronę graficzną opracował p. T. Piotrowski.

Wydanie tak ozdobnego i wartościowego czasopisma jest świadectwem znacznego ożywienia akcji prasowo-propagandowej Wydziału Turystyki Ministerstwa Komunikacji.

M. K. WOŁOWSKI. „ZŁOTO“.

Paraliż Gold Standaru.—Złoty miernik wartości.—Fikcja ekonomiczna.—Złoto jako narzędzie przemocy ekonomicznej.—Pozłacana bieda.—Przewidywany pieniądz wyzwolony od złota.—Przebudowa społeczna.—Droga do dobrobytu.

Nakładem Domu Książki Polskiej pod powyższym tytułem ukazała się niedawno książka, omawiająca w b. niepodległy sposób kwestję waluty złotej. Osoba autora jej,

jednego z dyrektorów Banku Polskiego, posiadającego długoletnią znajomość zagadnień monetarnych, tembardziej czyni książkę ciekawą.

P. W. przeciwstawia się głęboko zakorzenionym wierzeniom, jakoby pieniądz ponoć musiał być złoty i wskazuje czem, jego zdaniem, właściwy pieniądz nowożytny być powinien.

Dla autora złoty miernik jest tylko fikcją ekonomiczną, widoczną dla każdego, kto zechce zastanowić się, jak wygląda w rzeczywistości niepokojąca ekonomistów, struktura piramidy pieniężnej i kredytowej, opartej tylko swym wierzchołkiem o złoto.

Gold standard ma swoich mocnych obrońców. Utrzymanie jego prestige'u leży oczywiście w interesie tych, którzy posiadają największe zapasy złota. Nie jest to całkiem słuszne założenie, gdyż n. p. Stany Zjednoczone, mimo, że są jednym z tych największych posiadaczy, najboleśniejszy jednocześnie zadały cios gold standardowi, przechodząc nad nim do porządku dziennego, kiedy chodziło o ratowanie parytetu cen.

Nie wiem także, czy zgodne z faktami jest założenie, że po zawieszeniu wymienialności funta, wszystkie banki emisyjne starały się oprzeć pieniądze swoje tylko na złocie. Sama Anglja—jak to wynika z tez przedstawionych przez dyrektorów Bank of England¹⁾ sama pragnęła się pozbyć zapasów złota, uważając, że wielkie zapasy złota są zbyt kosztownym ciężarem dla ekonomiki kraju.

Słusznie jednak autor podkreśla, że nie kapitał wytwarza pracę, lecz właśnie rzecz się ma odwrotnie.

Nie kapitał więc jest punktem wyjścia dynamiki gospodarczej, lecz sam człowiek, jego praca i jego inwencja twórcza. Dlatego radzić trzeba sobie samemu. Kryzys go-

¹⁾ Vide: International Gold problem, nakładem Royal Institute of International Affaires. Londyn 1932.

spodarczy jest stanem katastrofalnym, podobnym do wojny. I tak, jak w czasie wojny istnieje rada wojenna, tak w czasie kryzysu powinna rządzić rada gospodarcza, która mogłaby uzgodnić, koordynować wszelkie zarządzenia dla przeciwstawienia się kryzysowi.

Gdyby zakorzenie głęboko sofizmaty dało się usunąć, praca nad odbudową byłaby łatwiejsza. Filozofia fikcjonalizmu Veiningera twierdzi, że wszystkie pojęcia naukowe i życiowe są jedynie fikcjami, spełniającymi pewną potrzebę wytworzoną przez ludzi na tle ich zamierzeń. Pojęcia te są pozbawione realnej wartości i nawet świadomie fałszywe. W dziedzinie pieniądza wiele podobieństw z tej zasady zastosować można. Wierzy się np. że pieniądz nasz jest prawdziwy, bo oparty na złocie i dewizach. Lepiej byłoby jednak uświadomić sobie fakt, że ta prawdzi-

wość opiera się raczej na odpowiednikach wewnętrznej produkcji, na posiadane zaś złoto i dewizy patrząc bez złudzenia jako na środki umożliwiające Polsce wyrównywanie deficytu bilansu płatniczego.

Kończąc autor podkreśla, że nigdy może chwila na przeprowadzenie reformy monetarnej nie była bardziej sprzyjająca. Ogromna większość państw albo już zerwała z parytetem złota, albo zerwie w najbliższej przyszłości. Czyż nie jest to dowodem — pisze autot — początku zmierzchu „żółtej międzynarodówki“?

Książka ta bardzo przystępnie napisana, znajdzie niezawodnie wielu zwolenników. Autorowi należą się wyrazy uznania za śmiałe postawienie trudnego problemu przed opinją ogółu.

J. J. Petczyński.

PROBLEMY

Jest to tytuł dwutygodnika, którego pierwszy numer ukazał się 15 grudnia.

Wydawcą pisma jest Piotr Dunin-Borkowski. Pisują w nim jak można sądzić z dwóch pierwszych numerów: wydawca oraz dwa znane już w publicystyce polskiej rody — Bocheńscy i Pruszyńscy. Sygnalizując ukazanie się tego pisma wśród powodzi całego szeregu innych czasopism, będących wyrazem dojścia do głosu w publicystyce pierwszego szeregu pokolenia, wychowanego już w niepodległej Polsce, czynimy to nie w chęci pochlebiaenia zespołowi redakcyjnemu, który mimo, że jest nieliczny, skupia naszym zdaniem pióra najbardziej obiecujące w gronie rówieśników. Uwagę naszą na „Problemy“ zwraca sposób stawiania zagadnień przez poszczególnych autorów zespołu piszącego oraz zakres zainteresowań zespołu.

Pismo stawia sobie za zadanie „pracę nad skałkowaniem ideowym nowej generacji“ i „walkę o polskość i jej światopogląd“.

Praca nad skałkowaniem ideowym nowej generacji — to raczej metoda niż cel. Że metoda ta nie jest hasłem tylko gotowi jesteśmy wierzyć, bo rzeczywiście we wszystkich artykułach nad temperamentem dziennikarskim panuje intelekt, a mimo ostrości krytyki przeciwnika daje się wyczuć zawsze dostateczną dozę wyrozumienia dla błędów tego przeciwnika.

Sposób w jaki są podane poszczególne „problemy“ dla użytku czytelników świadczą o dużym rozmachu autorów, ale równocześnie nie odnosi się przykrego wrażenia bezceremonjalnej zarozumiałości żółtodziobów, która zazwyczaj cechuje pisma „młode“.

Sposób pisania uprawiany w „Problemach“, daje się określić jednym wyrazem — kulturalny. Metoda jednak bez programu to za mało. Programu swego wprost pismo nie precyzuje. Jest nim ponoć walka o polskość światopoglądu nowej generacji. Więc o stosunku naszym do pisma i programu decyduje bliższe określenie tego tak wieloznacznego określenia jak „polskość“.

Tak „polskość“ jak można wnosić z wstępnego artykułu — to niepodległość ducha polskiego wobec dwóch współczesnie ścierających się prądów: hitleryzmu i bolszewizmu, to walka z ślepego naśladownictwem obcych wzorów oparta na wierze w własne wartości twórcze ducha polskiego.

Brawo, to jest stanowisko mocarstwowe bez cudzośłowul Polskość i mocarstwowość w ujęciu „Problemów“ nie mają nic wspólnego z nacjonalizmem. Jest to raczej imperjalizm i to imperjalizm nie uczuciowy tylko, ale przemysłany konsekwentny i świadomy celów.

Akcenty widoczne zwłaszcza w drugim numerze 1-go stycznia b. r. (Sprawa Czarnobaja — Przegląd prasy periodycznej), — mówią czytelnikowi, że pobudką pisania dla autora była tu już nawet nie polska imperjalistyczna racja stanu, ale wprost zdrowy odruch sumienia uczciwego i wrażliwego człowieka. Wyrażamy swoje uznanie dla „Problemów“, jako dla pisma ludzi uczciwie, ciekawie i logicznie myślących i ludzi o dużym wyczuciu politycznym.

Można się w niektórych punktach ze stanowiskiem „Problemów“ nie godzić, ale naogół ukazanie się tego pis-

ma witamy, jako radosny dla nas objaw coraz wyraźniejszego precyzowania się ideologii, posiadających kierunek zbliżony z temi drogami polskiej myśli politycznej, które sięgnęły najwyższy poziom jeżeli chodzi o polski program wschodni.

G. Ś.

Odpowiedzi Redakcji.

Panu J. J. P. — Otrzymanych artykułów i recenzji nie zamieszczamy, z wyjątkiem jednej recenzji, gdyż mimo całej ich wartości nie posiadają one znaczenia specjalnego dla naszego terenu.

Gdyby Pan nas do tego upoważnił gotowi tylibyśmy wskazać pismo o zainteresowaniach bardziej ogólnych, któreby powyższe prace zamieściło.

Autorowi notatki p. t. „Książę Walji w Wilnie“. Notatki nie zamieścimy. Nie mieliśmy nic przeciwko fantastycznej wizji przyszłości Wilna, gdyby była bardziej optymistyczna i zachęcająca do konkretnej pracy.

Pani J. J. — Nadesłanych materiałów nie wykorzystamy.

M a k a r o n o w i. — Druk uwag o ruinach zamku lidzkiego z powodu braku miejsca odkładamy do jednego z najbliższych numerów.

OTRZYMALIŚMY NASTĘPUJĄCE EGZEMPLARZE RECENZYJNE

W s c h ó d - O r i e n t. — Kwartalnik poświęcony sprawom Wschodu. Warszawa, Czerwiec — Grudzień Nr. 2-3-4 (14-15-16). Egzemplarz recenzyjny nadszedł gdy już był w druku to też omówienie odkładamy do następnego numeru.

S t a n i s ł a w S y m o n o w i c z. — Zadłużenie rolnictwa województwa wileńskiego i nowogródzkiego (odbitka z „Tygodnika Rolniczego“), Wilno 1934 r.

M i c h a ś M a s z a r a. — Na soneczny bierah. — Zbornik wierszau, Wilnia, 1934 god.

M i c h a ś M a s z a r a. — Śmierć Kastusia Kalinowskaha. — Poema, Wilnia 1934 god.

O KILOMETRZE I MINARETACH

Niniejszą notatkę pióra członka akademickiego Klubu zamieszczamy na tem miejscu (poza działem akademickim), gdyż dotyczy jednego z założycieli Klubu od dawna już Senjora.

Trudno mi jest pisać o książce Kilometra „kajakiem do minaretów”. Trudno z wielu względów, — ale napisać muszę.

A więc książka Kilometra.

Zdaje mi się, że w Wilnie nie można jej dostać w sprzedaży. Ale Klub otrzymał ją wraz z listem od warszawskich krewnych autora, z zaznaczeniem, że woła doktora włóczęgi było, aby Ak. Klub otrzymał egzemplarz „...minaretów”.

Czytałem tę książkę kilkoma tchami (wstęp odczytał mi Kilometr jeszcze przed wydaniem).

Wrażenie jest takie: styl swobodny — kilometrowy; podczas czytania widzi się Kilometra, biorącego rzeczy tego świata jednym spójrzaniem włóczęgi — Kilometra, całującego jednych ludzi, a odwracającego się od innych. Pytanie: czy autor sugeruje swe poglądy ideologiczne, mimo początkowej apostrofy, nawołującej do nieczytania jego książki — pytanie to pozostawiam bez odpowiedzi. Nie myślę jednak, żeby Kilometr chciał tu apostołować na rzecz tego skrajnego indywidualizmu, który płynie z kart książki. ...Idę tam... reszta — cóż mnie obchodzi: jestem włóczęga.

Tak streściłem duszę książki. Może myślę się? Widzisz, kochany Kilometrze — epoka „samych” skończyła się. Świat zrozumiał, że musi żyć w ro-

dzinie i dla celów dnia dzisiejszego i dnia jutrzejszego. W rodzinie często są kłótnie.

To trudno. Maszty okrętu zatopionego podczas wojny — tak to widok okropny, ale wysysk słabszego w indywidualistycznym świecie „samych”, życie dzisiejszością — to też rzecz straszna. Nie chcę szeregółowo polemizować z poglądami autora. Poczekam, aż wróci z Szanghaju i wtędy w cztery oczy pomówimy o tych kwestjach. Muszę tu coś powiedzieć od Klubu Akademickiego. Masz żal, Kilometrze, że po twych długich zmaganiach się z przyrodą, gdyś wracał do domu, nikt nie przyszedł ciebie powitać. Tak, to smutno. Wynikło to jednak z nieporozumienia, którego przyczyną był wcześniejszy powrót części kolegów z owej wyprawy. A zresztą. Potem nikogo w mieście nie było, prócz Marchołta i Głodomora, którzy nie mogli zwolnić się z urzędów na twój przyjazd. Wszyscy chcieliby powitać Kilometra... choćby dlatego, żeby zobaczyć, jak wygląda ich towarzysz, który miał szczęście przemierzyć tak bezpośrednio kawał świata, o czym każdy włóczęga marzy. „Marzy?—tu nie trzeba marzyć!

Czyn!

O nie, Kilometrze! Życie codzienne, to praca zarobkowa, to matka, brat na utrzymaniu, to troska, nietylko o siebie, lecz troska o swoich bliskich, ...a może i dalszych—ale swoich.

Wiktor Trościanko
włóczęga.

PRZEGLĄD CZASOPISM GOSPODARCZYCH

Zagadnienia walutowe już od dawna są przedmiotem zainteresowań większości ekonomistów. Ostatnie numery fachowych pism gospodarczych, jak i dodatki poświęcone życiu gospodarczemu w prasie codziennej są zajęte artykułami, omawiającymi deflację, inflację czy dewaluację.

EKONOMIKA. Tom III 1934 r. przynosi pracę Adama Heydla p. t. „Co to jest inflacja i deflacja”, który polemizuje z poglądem, reprezentowanym przez Irvinga Fishera, a mówiącym, że należy utrzymywać niezmienny poziom cen. Skutki, jakie w życiu gospodarczym pociąga zmiana siły nabywczej pieniądza, zależne są według Heydla od szybkości, z jaką poszczególne działy gospodarstwa i klasy ludności przystosowują się do nowych warunków.

Obok tego mamy jeszcze dwa artykuły: Edwarda Taylora — „Zagadnienie izolacji w ekonomice” oraz Michała Kaleckiego — „Trzy układy”.

GOSPODARKA NARODOWA Nr. 22 z 15.XI—1934 r. posiada jak zwykle ciekawą treść omawiającą aktualne zagadnienia ekonomiczne. Bohdan Łączkowski w artykule p. t. „Odpowiedzialność państwa” mówi, że interwencja w dziedzinę handlu zagranicznego musi być ograniczona; przekraczając pewną granicę, państwo bierze na siebie tak wiel-

ką odpowiedzialność, że ryzyko staje się niewspółmierne do korzyści, płynących z reglamentacji.

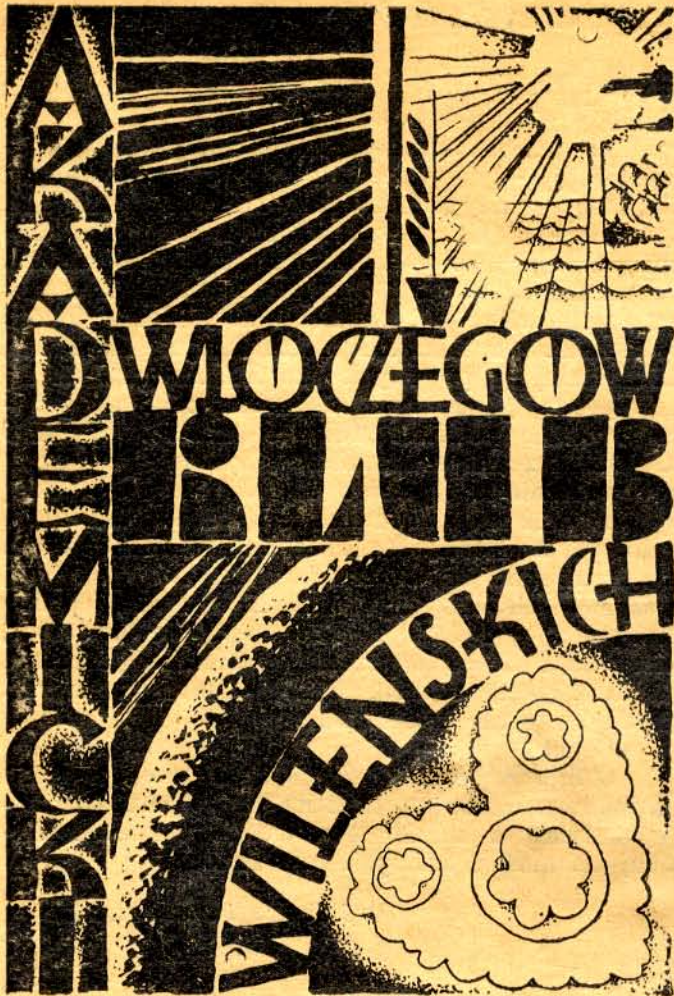
Andrzej Marchwiński pisze o „wadach uzbrojenia”, uzasadniając konieczność szerokich zarządzeń przeciw dumpingowi i przeciw towarom, pochodzącym z krajów, stosujących daering w swoich obrotach z zagranicą.

Władysław Diamand daje artykuł p. t. „Budżet, kredyt długoterminowy i przyrost ludności”. Wreszcie Zygmunt Szempliński w artykule p. t. „Gospodarcze podłoże nastrojów wojennych” uwydatnia wielkie podobieństwo dzisiejszego stanu Europy do stanu w roku 1914. Jako najistotniejszy powód ewentualnej wojny uważa on konieczność znalezienia terenów dla przyrostu ludności we Włoszech i Niemczech.

POLSKA GOSPODARCZA. Zeszyt 50. 15 grudnia 1934 r. przynosi ciekawy artykuł Michała Kaleckiego p. t. „Konjunktura a Dobrobyt”. Autor mówi, że mylnem jest przekonanie, które łączy wzrost dobrobytu ze wzrostem produkcji.

Przykłady U. S. A., Niemiec i Japonji, gdzie wyraźnie wzrósł wskaźnik produkcji, oraz rozważania teoretyczne prowadzą go do wniosku, że ten wzrost produkcji nie pociąga za sobą konieczności podniesienia dobrobytu.

Andrzej Święcicki.



AKADEMICKA KASA CHORYCH CZY AKADEMICKI OŚRODEK ZDROWIA?

Akademicka Kasa Chorych odseparowała się od Bratniej Pomocy i jest w stadium reorganizacji, a właściwie niepewności, nowy bowiem statut nie został zatwierdzony. Akademicka Kasa Chorych istniejąca od lat 14 przy Bratniej Pomocy — jest organizacją czysto akademicką. Na czele jej dotychczas stał zarząd wybierany corocznie przez Zarząd Bratniej Pomocy z pośród kandydatów przedstawionych przez Koło Medyków i T-wo Farmaceutyczne „Lechja”. Zarząd Br. Pomocy jest zarazem Radą Nadzorczą dla A. K. Ch.

Stan ten jednak musi ulec zmianie wobec nowej ustawy o stowarzyszeniach akademickich. A. K. Ch. odseparowała się od Br. Pomocy i zamierza zmienić nazwę na „Akademicki Ośrodek Zdrowia”, pozostawiając jedynie Br. Pomocy pewien wpływ na skład Zarządu. Bratnia Pomoc miałaby zarezerwowane cztery stanowiska w Zarządzie A. K. Ch. dla swoich kandydatów obok Kół Naukowych, które również (w stosunku do ilości swych członków) zgłaszałyby odpowiednią ilość kandydatów do Zarządu. Wybory proporcjonalne i tajne na wzór wyborów do Bratniej Pomocy uważali projektodawcy statutu za szkodliwe dla organizacji, gdyż nie dałoby się wówczas wyeleminować tarć politycznych, które więcej niż w innych organizacjach są dla A. K. Ch. niepożądane. Teraz gdy Zarząd Br. Pomocy składa się z przedstawicieli wszystkich ugrupowań

politycznych, wybór Zarządu A. K. Ch. przez Zarząd Br. Pomocy niczemby się nie różnił od wyborów Zarządu, dokonywanych przez przedstawicieli kół reprezentujących studia i wydziały. Jest kwestią dyskusji, jak mają być przeprowadzane wybory Zarządu. Nie byłbym zwolennikiem dysygnowania Zarządu przez Zarząd ustępujący—mogłoby to doprowadzić do nadużyć, do rządów „Kliki”, jak również prowadziłyby to do t. z. „zasiedzenia” ważniejszych stanowisk w Zarządzie. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że A. K. Ch. powinna pozostać w rękach Akademików.

Akademicka Kasa Chorych przy Bratniej Pomocy w Wilnie daje najwięcej świadczeń ze wszystkich środowisk.

Weźmy parę cyfr: 20709 członków, liczba porad 13.678 i 153 wizyty u obłożnie chorych. Dział dentystyczny przedstawia się doskonale: 1063 porad i 2902 plomby. Opłata personelu lekarskiego (13678 porad) wynosiła zaledwie 11.689,30 gr. jest to niezwykle mało jeśli weźmiemy pod uwagę, że oprócz gabinetów wewnętrznego, neurologicznego i dermatologicznego, prowadzi Kasa poradnię przeciwgruźliczną i gabinet dentystyczny (3 lekarzy). Minimalne opłaty pobierane przez lekarzy tłumaczą się tem, iż praca w A. K. Ch. traktowana jest przez p.p. lekarzy, jako pomoc koleżeńska a nie praca zarobkowa. To właśnie pełne poświęcenia stanowisko lekarzy oraz ofiarna praca kierownictwa daje możliwość rozwinięcia A. K. Ch. takiej działalności, na jaką nie byłoby stać żadną inną instytucję prowadzoną przez t. z. starsze społeczeństwo (egzemplum ubezpieczalnie społeczne). Obok sum wydawanych na opłatę personelu zadziwia wszystkich nadzwyczaj mała pozycja kosztów administracyjnych: 80% ogólnych wydatków. Tak tania administracja jest rzadkością nawet w najbardziej filantropijnych organizacjach. Gros pracy spoczywa na barkach Zarządu, który pracuje gratisowo, również płacę kierownika, (który *prosił o obniżenie pensji*) należy traktować, jako zwrot kosztów, a nie wynagrodzenie, zważywszy, iż nie tylko wkłada on dużo pracy, ale również wprowadza szereg innowacji i opracowuje nowe metody pracy. Ciekawe są bardzo metody zwalczania gruźlicy przez rozciąganie stałej opieki nad chorymi (bony obiadowe, stypendja mieszkaniowe, odzieżowe i t. d.).

Do tych nadzwyczajnych wyników w metodach pracy dochodzi A. K. Ch. dzięki entuzjazmowi pracy, dzięki chęci pomocy swoim kolegom. Chory zwraca się teraz do niej z zaufaniem (niestety pewne dość częste narzekania dają się słyszeć na gabinet dermatologiczny), gdyż wie, że jego koledzy życzą mu jaknajlepiej. Tak jest, gdyż od czternastu lat rządzi tam akademicy.

Istnieje koncepcja założenia Kasy Chorych Uniwersyteckiej. Koncepcja Uniwersyteckiej Ubezpieczalni nie jest nową—istnieje ona od dawna we Lwowie, jednak świadczenia jej w porównaniu z A. K. Ch. w Wilnie są bezporównania mniejsze. Zrozumiałą jest rzeczą, że biurokratyczne podejście urzędników nie może zastąpić pełnej zdrowej ambicji i poświęcenia pracy młodzieży. Nie hamujmy pełnego rozmachu życia Akademickiej Kasy Chorych i nie róbmy eksperymentów, zamieniając rozwijającą się świetnie instytucję w ubezpieczalnię, gdzie miejsce pełnych inicjatyw Akademików

zajmij płatni urzędnicy, studjujący pilnie okólniki i wypełniający starannie formularze.

Piękna tradycja Akademickiej Kasy Chorych jest dostatecznym argumentem w jej obronie, jako organizacji Akademickiej.

Stanisław Janicki.

WYBORY DO BRATNIEJ POMOCY W I. N. H. G.

W połowie grudnia, po półtorarocznej przerwie, odbyły się w Instytucie Nauk Handlowo-Gospodarczych wybory władz Bratniej Pomocy słuchaczy. Zdecydowane zwycięstwo odnieśli endecy, wprowadzając do zarządu swoją większość. Ręka w ręce z endekami szła młodzież mocarstwowa.

Należy stwierdzić, że endecy swój poprzedni stan posiadania wśród młodzieży Instytutu całkowicie odbudowali.

„BANDA AKADEMICKA“.

Piękne tradycje „Bandy” z czasów Matuli, Knopki i Widawskiego, coraz bardziej uległy zapomnieniu. Niema już tradycyjnych dziadów, którzy uświetniali każdą imprezę akademicką budząc swymi pieśniami „O Bratniaku” „Prawniku i Medycze” nieklamany entuzjazm publiczności. Tradycje dawnych pełnych świetności lat postanowiła wskrzesić powstała w zeszłym roku „Banda Akademicka przy Bratniej Pomocy”. Banda składa się z szeregu sekcji 1) muzycznej (orkiestra symfoniczna mandolinistów soliści, 2) śpiewacy soliści i rewellersy, 3) sekcji dramatycznej (szopka) i 4) literackiej.

Banda wystawiła w roku ubiegłym Komedjooperę ludową „Skalmierzanki” która zyskała pochlebne recenzje miejscowej prasy, urządziła dwa „Czwartki Akademickie” i XII Szopkę. W tym roku opracowany jest program „Czwartków Akademickich”, które rozpoczną się w styczniu. Zapisy do „Bandy” przyjmuje kol. Wacław Szulc w poniedziałki od 20—21 w Ognisku, i Leon Keć w środy. Warunki: dobry humor, ochota, trochę zdolności. Zadnych składek.

„ŻOŁNIERZE A TEATR“

W rocznicę odzyskania niepodległości teatr międzyszkolny pod kierownictwem p. Leona Bortkiewicza zorganizował widowisko dla żołnierzy garnizonu wileńskiego, p. t. „Serce w ogniu”, składające się z szeregu obrazów, ilustrujących dzieje walk o niepodległość. Recenzje o przedstawieniu wypadły nader pochlebnie, było ono w istocie odwołane bez zarzutu. Pragnąłbym jednak poruszyć jedno ważne, zdaniem moim, zagadnienie: jak na przedstawienie zareagował żołnierz. Odbywałem w tym czasie służbę wojskową, miałem więc możliwość obserwacji. Żołnierze cieszyli się, jak dzieci, gdy powiedziano im, że pójda do teatru. Długo starannie pucowali sobie buty i mundury — nie mogli się doczekać uroczystej godziny wyruszenia. Trócili — rozczarowani i zniechęceni. Niestety — sztuka, zawierająca przeważnie alegorie momentów historycznych, nie mogła trafić do serc, ani umysłów. Majorusinów z pod Dżisny, czy innych zapadłych łosek. Wrażenia żołnierzy ograniczyły się do stwierdzenia, że... kapral na scenie miał wiejskie

spodnie. Podoficerowie twierdzili również, że ich „nabrano”.

Żał było patrzeć, jak z tego radosnego oczekiwania nie zostało ani śladu! Widocznie żołnierze muszą mieć repertuar specjalnie dostosowany do swego poziomu. Uczyć żołnierza trzeba, ale trzeba mu przecież dać i trochę rozrywki, zwłaszcza w radosne święto Niepodległości. Nastrojowe, alegoryczne scenki nie mogą trafić do żołnierza, gdyż nie rozumie on ich artyzmu — i w pamięci jego pozostanie nie piękno symbolu, ale jakiś nic nieznający szczegół z dekoracji, czy też munduru artystów. Zdaje mi się, że właściwą drogę trafienia do żołnierzy, do ich poziomu — odnalazło kierownictwo audycyj żołnierskich, nadawanych przez radio warszawskie. Świadczą o tem liczne listy, własnoręcznie pisane przez żołnierzy, pełne zachwyty i wdzięczności.

Teatr dla żołnierzy jest bardzo ważnym zagadnieniem — uważałem więc za swój obowiązek podzielenie się temi spostrzeżeniami, z tymi, którzy z żołnierzem bezpośrednio kontaktu nie mają.

Stanisław Janicki.

Nie oddawajcie do oprawy rocznika „Włóczęgi” za 1934 r. zanim nie otrzymacie dodatków do tego rocznika w postaci spisu treści i zakończenia artykułu Cz. Bielskiego.



WŁÓCZĘGA — TO PRĄD ZDROWEJ MYŚLI!

JUŻ UKAZAŁO SIĘ W DRUKU

PRZEMYSŁ I HANDEL
W
WILEŃSKIEM i NOWOGRÓDZKIEM
TEODORA NAGURSKIEGO

Krótkie i jasne informacje o sytuacji gospodarczej
naszych ziem, podane w tej książce, zainteresu-
ją każdego obywatela.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

TEN ZNAK



zapewni Ci staranne
i estetyczne wykona-
nie druków

- FACHOWE KIEROWNICTWO ARTYSTYCZNE.
- NOWE KROJE PISM.
- STARANNY I WYRAŹNY DRUK.
- PUNKTUALNE WYKONANIE ZAMÓWIEŃ.
- MINIMALNE CENY.

DRUKARNIA „GRAFKA“
ART.-MAL. GRACJANA ACHREM-ACHREMOWICZA
WILNO, TROCKA 13. TELEFON 13 — 69.